

KULTURA *z* BIZNES[®]

Magazyn Kulturalno-Społeczny • Rok XX • Nr 72 • Łódź, 2021 • ISSN 1644-4043 • Egzemplarz bezpłatny

Przyszłość należy do kultury, nie do polityki – Św. Jan Paweł II

W numerze m.in.: Pożegnanie inż. Zbigniewa Wysockiego i Antoniego Chrościelewskiego, wspomnienia o Marii Dmochowskiej, Miłoszu Maginie i Jerzym Narbucie, nagrodzeni przez Fundację Kultury i Biznesu laureaci Konkursu im. W. Strzemińskiego, Grupa artystyczna OD...DO..., recenzje książek i płyt, nowości wydawnicze, EC1 Łódź Miasto Kultury, Fotofestiwal 2021, fotografie Joanny Miklaszewskiej, o wystawie o Armii Polskiej w Ameryce, Bankowa Fundacja Kultury, nowa sala koncertowa w Łodzi, dodatek o Poli Negri

POLSKIE ROCZNICE

Vivat Król, vivat naród!

W 2021 roku obchodzimy 230. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja (1791), uchwalonej przez Sejm Czteroletni, obradujący od 1788 do 1792 roku. Na znanym obrazie Matejki, posłowie niosą króla Stanisława Augusta do katedry Św. Jana na uroczyste i przed Bogiem zaprzysiężenie Konstytucji. Król „wrócił” do tej katedry – dokładnie do jej podziemi – w lutym 1995 roku.

Uważam jak wielu Polaków, że Stanisław August, ostatni król Polski (i Wielki Książę Litewski etc., etc.) powinien zostać wreszcie pochowany z godnościami na Wawelu! Tam jest jego miejsce jako króla.

Ten tragiczny władca ma tyleż zwolenników co i przeciwników; obarcza się go winą za grzechy, których nie popełnił, ale i za te, które popełnił w swojej nieudolności ale i skomplikowanej sytuacji politycznej. Nie był to silny król – zwłaszcza na tak trudne czasy upadku i słabnącej Rzeczypospolitej, ale pracował usilnie dla Niej, dokonał rzeczy wybitnych w kwestiach modernizacji upadającego państwa, unowocześnił je. Oskarżanie go o doprowadzenie do upadku kraju, do rozbiorów etc. jest nieuzasadnione a wielu historyków wręcz uważało i uważa, że król odrodził Polskę przedrozbiorową a nie doprowadził do jej upadku. Rozbiory słabej i osamotnionej zupełnie oraz otoczonej wrogami Polski, nastąpiły na skutek bandyckiej zмовы silniejszych militarnie naszych sąsiadów. Wreszcie, król nie był jedynym decydem w wielu sprawach, można pytać: co robili od lat by przeciwdziałać upadającej Rzeczypospolitej i gdzie byli: magnaci, biskupi, senatorowie, posłowie, panowie szlachta i inni wielcy i wpływowi obywatele? Przecież wpływowi opozycyjni wobec króla magnaci, dogadywali się przeciw niemu z wrogami króla i państwa.

Konstytucją 3 Maja Polacy długo się nie nacieszyli. Dwa lata po jej uchwaleniu, na skutek ingerencji i interwencji Rosji, przymuszony przez nich król (i zadłużony u nich, uzależniony od nich) podpisał 3 maja 1793 roku uniwersał zwołujący na 17 czerwca 1793 roku Sejm Grodzieński, de facto zwołany przez Rosjan i pod ich nadzorem obradujący. Rosja wespół z Prusami parła do kolejnych rozbiorów Polski. Królowi, mimo poczynionych starań, nie udało się pozyskać poparcia dla Polski ze strony Austrii. Sejm Grodzieński pod rosyjskimi bagnetami zażądał II rozbiór i unieważnił uchwały Sejmu Czteroletniego.

cd. str. 2.

KULTURA

Łukasz Borowicz

Łukasz Borowicz – dyrygent, absolwent Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie w klasie Bogusława Madeya, laureat wielu nagród artystycznych w kraju i za granicą; dyrygent, dyrektor i dyrektor artystyczny wielu znakomitych orkiestr. Dyrygował większością polskich orkiestr symfonicznych – nie dzieli dyrygentów na symfonicznych i operowych. Z zagranicznych orkiestr które prowadził wymienimy choćby: London Philharmonic Orchestra, Royal Philharmonic Orchestra, Konzerthausorchester Berlin, SWR Sinfonienorchester Stuttgart, Deutsche Symphonie-Orchester Berlin, Orkiestra Opery Paryskiej i inne. Poprowadził od pulpitu ponad sto oper i baletów,

dokonał już nagrań ponad stu albumów płytowych – głównie z muzyką polską.

Maestro urodził się 25 września 1977 roku w Warszawie, zawodowo związany jest z rodzinnym miastem, z Poznaniem oraz coraz częściej z kilkoma miastami Francji dysponującymi dobrymi orkiestrami symfonicznymi. W 2006 roku otrzymał na macierzystej uczelni tytuł naukowy doktora w dziedzinie dyrygentury (promotor Antoni Wit), w latach 2007-2015 prowadził jako dyrektor artystyczny Polską Orkiestrę Radiową, od 2006 roku jest pierwszym dyrygentem gościnnym Orkiestry Filharmonii Poznańskiej.

O maestro Łukaszu Borowiczu pisze red. Róża Świąteczyńska na stronach rozkładowych 10 i 15.



FOT. KATARZYNA ZALEWSKA

BIZNES

Nowe EC1

EC1 w Łodzi (ul. Targowa 1/3) była elektropłownią i pierwszą w mieście elektrownią, powstały tu dwa duże kompleksy techniczne: EC1 Wschód w 1907 roku (pierwszy turbozespół uruchomiony w Elektrowni Łódzkiej) i EC1 Zachód w 1920 roku. Piękne fabryczne budynki z czerwonej cegły przetrwały obie wojny światowe, PRL, po wygaszeniu w nich produkcji w 2001 roku wykorzystywane były na inne działalności lub stały puste. Wreszcie władze Łodzi postanowiły zagospodarować je na cele kulturalne. Zaplanowano utworzyć wokół Dworca Fabrycznego i EC1 tzw. Nowe Centrum Łodzi na pow. ok. 90 ha, m.in. z kompleksem budynków zwanych Bramą Miasta – to te czarno-brązowe trzy nowe „biurowce” istniejące już przy ul. Kilińskiego 66 vis-à-vis ul. Trau-

gutta. Na tym terenie, przy EC1, miało też powstać centrum festiwalowo-kongresowe Camerimage Łódź Center z obiektami według projektu Franka Gehrego; jednak nie doszło do realizacji projektu a festiwal Camerimage opuścił Łódź. W 2008 roku Rada Miejska w Łodzi powołała nową samorządową instytucję kultury pod nazwą „EC1 Łódź – Miasto Kultury” w Łodzi.

O EC1 czytaj na str. 20



Pola Negri

(dodatek str. 11-14)

POLSKA GWIAZDA FILMOWA

Madame Skłodowska czy Madame Curie?

Zadziwiające jest, jak Polacy są niekonsekwentni i niepoprawni we właściwym a właściwie w niewłaściwym określaniu nazwiska swojej największej uczzonej, Marii Skłodowskiej-Curie (1867-1934). Ze zdumieniem nadal widzę w wielu miejscach Polski pisanie jej nazwiska Maria Curie-Skłodowska. Przecież nie tylko w polskiej tradycji i prawie przyjęte jest, że kobieta wychodząc za mąż przyjmuje zwyczajowo nazwisko męża, może też zostawić swoje rodowe nazwisko a nazwisko męża jako drugi człon, lub używać tylko swojego rodowego nazwiska. Pani Maria Skłodowska wybrała wersję z dopisaniem do swojego nazwiska – nazwisko męża. Widać to w dokumentach, także np. w dyplomie indywidualnej Nagrody Nobla z 1911 roku, gdy poleciła napisać (i tak napisano): Marie Skłodowska Curie.

O ile można zrozumieć to niezrozumienie w małych miasteczkach nadających błędnie np. ulicy imię tej słynnej uczzonej, to już w dużych ośrodkach, w nazwach instytucji jest to niedopuszczalne. Nie promuje się polskiej tradycji, nazwiska i polskości uczzonej, a pisze się jej nazwisko na francuską modłę, a sięgając do nazwy uniwersytetu w Lublinie można rzec, że i na sowiecką. Uczelnię nazwaną Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (UMCS) utworzył w Lublinie komunistyczny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) w 1944 roku, pod sowieckim nadzorem, nie pytając pewnie nawet rodziny pani Skłodowskiej o zgodę. W interesie Rosji nie było i nie jest by promować Polskę, polską kulturę, naukę, tę uczoną; ale że nie dokonano po tzw. upadku komunizmu (umowna data 1989) zmiany nazwy – to jest zadziwiające. Starsi profesorowie lubelscy i profesoria wywodzący się z tej uczelni mówią, że ten status-quo jest na skutek wpływów francuskich, że władze uczelni i Polski „nie chcą tego ruszać”. Czy zatem Polska jest dziś krajem wolnym i może wreszcie mówić własnym głosem, czy jest nadal czyimś kondominium?

Na stronie internetowej uczelni, tłumaczy się to tak:

– „Kolejność nazwisk patronki wymienianych w nazwie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej nie jest ani pomyłką, ani przypadkiem. Uczelnia została powołana do życia pod obecną nazwą dnia 23 października 1944 r. Obowiązujące w tym względzie przepisy prawne nie dają możliwości zmiany nazwy uczelni ani Władzom Rektorskim, ani Senatowi Akademickiemu. Decyzję taką mogłaby podjąć wyłącznie władza ustawodawcza”.

Dalej dopisano, że uczona też podpisała się w tej kolejności w 1930 roku w Lublinie. Ale to żaden argument i żadne poważne tłumaczenie, pani Skłodowska nie przywiązywała czasami uwagi do takich wpisów; w dokumentach pisała się: Skłodowska-Curie.

W muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie (na szczęście jeszcze nie Muzeum Madame Curie) na początku zwiedzania ogląda się film dokumentalny, ośmiominutowy, francuski (!), pt. *Madame Curie*. Dlaczego nie polski film pt. *Maria Skłodowska-Curie*? Czy tak trudno zamówić prawdziwy, własny, krótki metraż? Poza tym ten francuski przerysowuje wiele spraw.

Brońmy wobec świata polskości Pani Skłodowskiej, nikt za nas tego nie zrobi, skończmy ten mętlik. Jestem ciekaw, czy nowy minister edukacji i nauki z Lublina dr hab. Przemysław Czarnek prof. KUL (prawnik po KUL) uporządkuje to.

Wojciech Stanisław Grochowalski

Ostatni król urodził się 17 stycznia 1732 roku w Wołczynie na Podlasiu (ob. Białoruś), królem Polski był od 1764 do 1795 roku czyli do III rozbioru. Tron objął dzięki cesarzowej Katarzynie II, z którą notabene romansował jeszcze zanim została cesarową, miał z nią córkę. Po objęciu tronu próbował reformować słabnące państwo – „uciekał” spod dozoru Katarzyny II, niestety nieskutecznie. Mimo wielu popełnionych błędów miał i poważne osiągnięcia, m.in.: założenie Szkoły Rycerskiej, Teatru Narodowego, powołał Komisję Dobrego Porządku w każdym województwie, przeprowadził reformę monetarną, popierał rozwój przemysłu w tym górnictwa – utworzył Komisję Kruszcową, tworzył liczne placówki dyplomatyczne za granicą, do których np. zgłaszali się ochotczo w Anglii, Francji czy Szwecji oficerowie tych państw, chętni walczyć z Rosją po agresji na Polskę w 1792 roku. Król powołał Komisję Edukacji Narodowej (po kasacie zakonu jezuitów, przejmowała ich majątek szkolny), utworzył Towarzystwo Książ Elementarnych, czasopismo „Monitor”. Przebudował Zamek Królewski, wybudował Bibliotekę Królewską, Łazienki Królewskie, ustanowił Order Świętego Stanisława i Order Virtuti Militari. Stworzył kolekcję światowego malarstwa z dzieł m.in.: Rembrandta, Leonarda da Vinci, Rubensa, Tycjana, Bruegla, Rafaela Mengsa, Davida i in. Jak widać, poza przeprowadzaniem reform gospodarczych był wielkim mecenasem kultury. Rozwijał szeroko polską kulturę i sztukę w tym literaturę, którą odrodził, teatr; napisał też pamiętniki.

Monarcha zmarł 12 lutego 1798 roku w Petersburgu i tam go pochowano w kościele Św. Katarzyny. Sarkofag z prochami króla sowieci przekazali w 1938 r. Polsce. Po kryjomu, niezgodnie, z Petersburga – wtedy Leningradu – przeniesiono go do rodzinnego Wołczyna, do barokowego kościoła Św. Trójcy, wybudowanego w dawnym majątku Poniatowskich jeszcze w XVIII w. Ta poniewierka była jakąś krzywdą wyrządzoną prochom królewskim, zemstą. W końcu II wojny światowej sowieci zniszczyli sarkofag, sprofanowali grób, w kościele urządzili swoim stylem magazyn żrących nawozów sztucznych.

Zasługi króla dla kraju przywoływała Narodowa Demokracja, dopominająca się pochówku króla na Wawelu. Zasługi te zbijała rządząca sanacja, m.in. niechętny królowi był Józef Piłsudski, który uważał go za zdracę. W 1938 roku (Piłsudski zmarł 12 V 1935) premierem rządu był nieporadny gen. Felicjan Sławoj-Składkowski, znakomity żołnierz, poczciwy Polak ale nie nadający się np. wg Cata-Mackiewicza na premiera. Składkowski powiedział, że nie może pochować króla na Wawelu, bo „to był zły król”. Oburzony sytuacją prof. Stanisław Estreicher powiedział w sierpniu 1938 r.: „Konspiracyjny, niegodny wielkiego narodu i wielkiego – mimo wszystkich swych błędów – króla, pogrzeb w Wołczynie nie tłumaczy się w moich oczach niczem, chyba zupełną nieznajomością dziejów zarówno Stanisława Augusta jak i czasów porozbiorowych. Miejsce dla Stanisława Augusta jest na Wawelu, gdzie leżą zwłoki innych królów narodu, obok zwłok kilku królów – duchów”.

Po wojnie, dopiero w 1988 r. Polska po wieloletnim upominaniu się o szczątki królewskie, otrzymała dosłownie prochy z fragmentami trumny, kości i szat króla. Ostatecznie jego szczątki pochowano dopiero w lutym 1995 r. w podziemiach bazyliki archikatedralnej Św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Król należał do masonerii rytu Ścisłej Obserwy (otrzymał wszystkie stopnie wtajemniczenia) co zapewne nastroczało przeszkód jego katolickich pochówków w Polsce. Ale tak samo katedra Św. Jana jak i Wawel są miejscami poświęconymi i świętymi dla Polaków – ale królów Polacy chowali na Wawelu.

Chyba już pora, aby ostatni król Polski spoczął wśród swoich poprzedników?

Wojciech Stanisław Grochowski



Inż. Zbigniew Wysocki odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (dewiza orderowa: Polonia Restituta); Gdynia, 7 października 2017 roku. U boku odznaczonego małżonka Maria Wysocka, rozmawiają z Teresą Juśkiewicz-Kowalik.

Dekoracja miała miejsce w dawnej Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni, od 2001 roku Akademia Morska w Gdyni a obecnie Uniwersytet Morski w Gdyni, gmach Wydziału Nawigacyjnego w Domu Żeglarza Polskiego przy al. Jana Pawła II nr 3.

ROCZNICOWE FOTO



Inż. Zbigniew Wysocki (1940-2021)

Zmarły w Gdyni 23 stycznia 2021 roku inż. Zbigniew Wysocki był człowiekiem morza. Przede wszystkim marynarzem, inżynier okrętownik, kapitan starszy mechanik czyli drugi kapitan na jednostkach pływających. Pływał w marynarce handlowej, był dyplomowanym pierwszym mechanikiem, pływał także na statkach zagranicznych. Wiele lat pracował w Polskich Liniach Oceanicznych, mieszkał w Gdańsku, Sopocie a ostatnio w Gdyni; był członkiem Duszpasterstwa Ludzi Morza Centrum Stella Maris w Gdyni. Sprawy morza były dla Niego bardzo ważne jako zagadnienia historyczne i w działalności społecznej. Należał do współzałożycieli (z kpt. ż.w. Zbigniewem Sulatyckim) Polskiego Stowarzyszenia Morskiego-Gospodarczego im. Eugeniusza Kwiatkowskiego, organizowali sympozja, konferencje i konwenty o tematyce morskiej i patriotycznej. Stałymi od lat wydarzeniami były uroczystości organizowane w lutym z okazji kolejnych rocznic Zaślubin Polski w Morzem (10 lutego 1920) i rocznic pierwszych sowieckich wywózek Polaków na Sybir, rozpoczętych w czasie II wojny światowej 10 lutego 1940 roku w Białymstoku. W 2006 roku został powołany na podsekretarza stanu – przez kilka miesięcy był wiceministrem transportu i budownictwa z powierzoną odpowiedzialnością za gospodarkę morską i rybołówstwo.

Całe dorosłe życie związał z morzem, Trójmiastem; pracował w wielu instytucjach i przedsiębiorstwach branży morskiej, ostatnie lata bardzo aktywny w ww. PSM-G, honorowy przewodniczący oraz przewodniczący Rady Naczelnej PSM-G. Pan Wysocki nie tylko doskonale i twórczo uzupełniał prace PSM-G gdy przewodził tam kpt. Z. Sulatycki, ale myślę że śp. Z. Wysocki był podporą i opoką dla Stowarzyszenia. Pamiętam też Jego wspomnienie z działań charytatywnych i niesionej skutecznej pomocy dla powodzian z sandomierskiego, kontakty z biskupem sandomierskim Edwardem Frankowskim. Bardzo przeżył śmierć ministra prof. Jana Szyszki, uważał, że Go skrzywdzono.

Zbigniew Wysocki był człowiekiem bardzo życzliwym i uczciwym wobec innych ludzi, uczynnym, pomagającym innym – czego i ja doświadczałem wiele razy; kochający Boga i Ojczyznę, pewny jako kompan do spraw wagi państwowej. Angażował się w działalność polityczno-niepodległościową w granicach swoich możliwości (do partii politycznych nie należał z tego co wiem), bywał na spotkaniach i dyskusjach politycznych w przełomowych chwilach w stoczni gdańskiej, często wozził samochodem na takowe m.in. Lecha Kaczyńskiego, który mieszkał wtedy w So-

pocie. Do ostatnich dni życia był aktywny społecznie, zatroskany ale i zaniepokojony sytuacją w kraju.

W 2017 roku został odznaczony krzyżem kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

*

Zbigniew Wysocki urodził się 12 lutego 1940 roku w Baranowiczach, gdy był jeszcze w łonie matki, ojciec musiał uciekać zagrożony sowiecką wywózką. Rosjanie aresztowali po 17 września 1939 roku jego stryja, pracował w referacie wojskowym. Ojciec Zbigniewa uciekł do Warszawy, matka została z trojgiem dzieci, nękana przez sowiektów zdołała uchronić się przed wywózką; zamieszkała u sąsiadów. Ojciec wrócił, gdy na wschodnie tereny Polski weszli w 1941 roku Niemcy, którzy zlecieli mu zarząd majątkiem Jurewiczów – jego teścia we wsi Wyszpól koło Stołowicz pow. baranowicki. Miał dobrą opinię u ludzi, u pracowników folwarcznych, pracował z chłopami w polu, dbał o nich; bronili go tak przed Niemcami, jak i partyzantami polskimi stale rekrującymi żywność czy przed Rosjanami, a ci ostatni wchodząc tu w 1944 roku chcieli ojca Zbyska zastrzelić jako pana i kułaka. Wyszpól nie był dużym majątkiem, liczył wtedy 105 ha: pola uprawne, łąki, las, staw zarybiony.

Zagrożony jednak aresztowaniem po przejściu frontu, Wysocki wyjechał do Chełmna, dokąd w 1945 roku dotarła żona z czwórką dzieci, Zbyszek był najmłodszym i ukochanym synem matki, która nauczyła go pacierza, wierszy i pieśni patriotycznych, opowiadała historie z dziejów Polski, czytała literaturę piękną, uczyła patriotyzmu i chyba to ona wpoila mu szacunek do Marszałka Piłsudskiego. Do Chełmna przyjechali też rodzice matki Zbyska, zdecydowali się wyjechać do Sopotu i zamieszkali przy ul. Krasickiego w opuszczonym poniemieckim domu. Lokatorów w nim z ich rodziny było ośmioro, bo doszły jeszcze dwie ciotki do opieki „podrzuczone” przez rodzinę. Gdy miał 14 lat, w Sopocie zmarła ukochana bardzo przez niego matka, był przy jej śmierci... Niedługo potem zmarł ojciec.

Zbigniew ukończył liceum ogólnokształcące a po nim Pomaturalną Szkołę Morską w Sopocie przy ul. Kosynierów; zaczął pracować i studiować zaocznie na Politechnice Warszawskiej na Wydziale

Mechanicznym, studia dokończył na Politechnice Gdańskiej – wydział budowy maszyn. Miał isticie humanistyczne pasje i zainteresowania: muzyka poważna, pisał wiersze, fraszki (drukował np. w tygodniku „Nasza Polska”), kochał i znał przyrodę, jego hobby było wędkarstwo.

Jeszcze w szkole morskiej poznał przyszłą żonę, Marię, u koleżanki na imieninach. Pobrali się w 1964 roku, zamieszkali początkowo w Gdańsku; dochowali się córki, dwóch synów i kilkorga wnucząt.

*

Zmarł w szpitalu, do którego zabrano go dzień wcześniej. W 2015 roku przeszedł bardzo ciężki wylew, leżał trzy tygodnie na OIOM w szpitalu, miesiącami był non-stop pod opieką żony, dzieci (córek i dwóch synów) i rehabilitantów. Opieka ta spowodowała, że doszedł do normalnej sprawności, ale choroba ta a pewnie i zmartwienia sytuacją w kraju nie dały pełni sił i nastroczały kolejnych trosk, przybijały go – mimo, że był życiowym optymistą.

Pogrzeb odbył się 30 stycznia. Egzekwie w katedrze oliwskiej sprawowało liczne grono duchownych w tym biskupi, księża diecezjalni i ojcowie redemptoryści. Został pochowany na cmentarzu katolickim w Sopocie przy ul. Malczewskiego; uroczystości te można obejrzeć na stronie PSM-G.

Znałem osobiście śp. Pana Zbigniewa, dołączyłem do PSM-G już po 2000 roku zaproszony i zachęcony w Łodzi przez śp. Arkadiusza Dworzaka. Wiem, że tak Pan Zbigniew jak i Jego żona byli stałymi czytelnikami naszego czasopisma i śledzili moje poczynania, wspierali je także finansowo za co dziękuję. Gdy pisałem teksty o „Solidarności”, o strajkach na Wybrzeżu i szukałem kontaktu do p. Krzysztofa Wyszowskiego – poprosiłem o pomoc właśnie śp. Zbigniewa Wysockiego, który natychmiast przekazał mi numer telefonu, zaanonsował mnie i rozmowa z Panem Wyszowskim była od razu szczerą i pełną zaufania.

Mieliśmy wspólnie ze Zmarłym dużo uwagi do Marszałka Piłsudskiego, do gen. Hallera, do Papieża Jana Pawła II, do naszej wielkiej historii i tradycji; dlatego i śmierć Pana Zbigniewa objęła mnie głębokim i długim smutkiem.

Niech aniołowie zawiodą Cię do rajcu...

Wojciech Stanisław Grochowski



amcor

Czasopismo „Kultura i Biznes”

wydawane jest dzięki pomocy finansowej firmy Amcor Sp. z o.o.

Śp. Antoni Chrościelewski (1924 – 2021)

W Nowym Jorku zmarł Antoni Chrościelewski, komendant Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce Okręg nr 2 w Nowym Jorku, wieloletni prezes korporacji Polskiego Domu Narodowego na Greenpoincie w Brooklynie; zmarł 1 kwietnia 2021 roku, został pochowany na cmentarzu katolickim w Amerykańskiej Częstochowie, w Doylestown. Spoczął przy żonie Walerii, która odeszła w październiku 2018 roku.

Pan Chrościelewski urodził się 4 września 1924 roku w Augustowie, ojciec był policjantem, zatem gdy weszli tu sowiści 17 września 1939 roku musiał się ukrywać. Antoniego z matką i dwojgiem rodzeństwa sowiści wywieźli 13 kwietnia 1940 roku do Kazachstanu, był zatem pan Antoni zesłańcem syberyjskim. Udało mu się jakoś przedrzeć stamtąd do Armii Polskiej i tak w Uzbekistanie w 1942 roku zaciągnął się do Wojska Polskiego; był żołnierzem 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Na początku otrzymał w Palestynie przydział do 3. Karpackiego Pułku Artylerii Przeciwlotniczej Lekkiej (3. Dyw. Strzelców Karpackich), przeszedł szlak bojowy od Persji, Iraku, Palestyny poprzez Kanał Sueski, Egipt, Włochy. Był uczestnikiem Bitwy pod Monte Cassino w maju 1944 roku. Po wojnie został na emigracji, ukończył liceum we Włoszech, Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii Przeciwlotniczej, wyjechał do Anglii gdzie zdobył tytuł inżyniera. W 1952 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, zamieszkał w Nowym Jorku, z czasem otworzył własną firmę. W Ameryce ożenił się w 1956 roku z Walerią Kościółek, mieli syna Marka i córkę Julię Bożenę.

Tak w Europie jak w Ameryce angażował się w działalność społeczną, polityczną i niepodległościową na rzecz Polski i Polonii. Organizował nie tylko wydarzenia artystyczne, spotkania, koncerty, ale i np. uliczne antykomunistyczne manifestacje na Manhattanie. Został też sekretarzem finansowym a później prezesem Polskiego Domu Narodowego na Greenpoincie. Do Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce wstąpił w 1992 roku, od 2000 roku był adiutantem finansowym zarządu głównego SWAP (czyli na cały świat) zaś w 2001 roku wybrano Go komendantem Okręgu nr 2 (na Manhattanie); funkcję tę sprawował do końca życia.

Pan Antoni był melomanem, zorganizowali nawet z żoną chór mieszany Angelus, działający przy Polskim Domu Narodowym. Cieszyło mnie, że bywali na koncertach ku chwale Fryderyka Chopina i Artura Rubinsteina organizowanych przeze mnie w Nowym Jorku w Carnegie Hall w średniej Sali Zankel, a otrzymywanie na nie wsparcia finansowego od SWAP budziło coraz większe moje zaskoczenie ale i uznanie dla tej organizacji prowadzonej przez pana Chrościelewskiego.

W 2019 roku otrzymał awans na stopień kapitana rezerwy Wojska Polskiego. Został odznaczony m.in. Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2020), Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino, Złotym Krzyżem Zasługi SWAP. Wśród zaszczytów był i ten szczególny, otóż w 2005 roku został Wielkim Marszałkiem Parady Pułaskiego w Nowym Jorku, poprowadził 5 Aleją Manhattanu tę największą polską paradę i manifestację polskości, organizowaną w drugą niedzielę października

Muszę szczerze napisać, że spośród polonijnych i polskich instytucji w Nowym Jorku, spośród tych, które poznałem, to właśnie SWAP okazał się dla mnie opatrnościowy. Trafiłem tam bodaj drugiego dnia mojego pierwszego przybycia na tydzień do Nowego Jorku, we wrześniu 1997 roku. Pomaszzerowałem z Hotelu Gershwin na 27 Ulicy – gdzie mieszkalem – 5 Aleją i Broadwayem do Union Square a stamtąd do siedziby SWAP Okręg 2 czyli do Domu Weterana Polskiego na 15 Ulicy. I trafiłem od razu na jakieś zebranie, spotkanie; za dużym

stołem siedziało kilku starszych panów, było też kilka młodszych osób (raczej nie odzywali się), w gronie „starszyny” byli m.in. pan Chrościelewski i pan Witt. Obaj szefowie jakby zajęli się mną od razu, wydali dyspozycje „młodzieży” aby mnie nakarmić, zrobić herbatę, dać kieliszek do ręki byśmy wzniesli toasty. Gdy opowiedziałem o sobie, to znaczy że: piszę książkę o gen. Wieniawie-Długoszkim, że należę do Towarzystwa Byłych Żołnierzy i Przyjaciół 15. Pułku Ułanów Poznańskich, że spotykam w Poznaniu Panią Generalową Irenę Anders, że jeżdżę na Zjazdu Oficerów Kawalerii II RP do Grudziądza – panowie kazali wszystkim wstać i musiałem wypić dwie kolejki za nasze obecne spotkanie i te przyszłe.

Byłem bardzo miło zaskoczony i uradowany tym przyjęciem, poczułem się pewnie i bezpiecznie, wśród swoich! Moja samotność w tym dużym mieście nagle minęła, wtedy niewiele osób znałem w Nowym Jorku. Panowie – o ile pamiętam, nie było chyba tego dnia żadnych pań w ich gronie – nakazali mi wręcz przychodzenie do nich, do tego miejsca, kiedy tylko będę chciał. Zatem przychodziłem nawet gdy byłem dwa-trzy dni w Nowym Jorku, słuchałem ich, uczyłem się od Nich. Słuchałem ich opowieści i żartów do późnych godzin; większość z nich przybyła chyba do Ameryki z Londynu. Z podziwem słuchałem o Monte Cassino, o generale Andersie, o niedźwiedziu Wojtku; oni pytali o Polskę, o Łódź – SWAP był tu z wycieczką w 1927 r.; Polonia wsparła finansowo budowę kanalizacji Łodzi. Pan Chrościelewski jako bohater spod Monte Cassino, uczestnik bitwy, budził moje szczególne zainteresowanie. Dziś nie wyobrażam sobie nawet krótkiego pobytu w Nowym Jorku by nie udać się do Domu Weterana, jednej z najważniejszych ości polskości na Manhattanie, miejsca z tyloma pamiątkami i skarbami historycznymi.

Podczas pobytu w grudniu 2018 roku na opłatku SWAP w Domu Weterana, po kolacji (tam zawsze jest gościnnie, po polsku!) przysiadłem się i przysłuchiwałem długiej rozmowie, dyskusji i wymianie opinii na tematy historyczne i polityczne jakie prowadził pan Antoni z prof. Markiem Janem Chodakiewiczem; po chwili grono słuchaczy bardzo się powiększyło...

Ku prawdzie historycznej wspomnę inne instytucje polonijne które odwiedzałem i odwiedzam, do których trafiłem poniekąd z uzyskanych kontaktów wtedy i później w SWAP. A były to i są nadal: Instytut Józefa Piłsudskiego, parafia polska Św. Stanisława BiM na Manhattanie, dawna redakcja „Nowego Dziennika” z red. Julitą Karkowską prowadzącą znakomity dodatek kulturalny „Przegląd Polski” i redakcja „Kurier Plus” z red. nac. Zofią Kłopotowską, księgarnia „Nowego Dziennika” (wtedy też na Manhattanie, na parterze bloku redakcyjnego gazety), „Księgarnia Literacka” prowadzona przez Andrzeja Szymanika na Greenpoincie, zaglądałem do szkoły muzycznej Janusza Sporka itd., itd.

Za kolejnym pobycem w SWAP poznałem małżonkę pana Chrościelewskiego, Panią Lunię jak zwracano się do Niej, ich syna Marka obecnie I wicekomendanta zarządu Okręgu 2 SWAP.

Staralem się być w Nowym Jorku kilka razy w trakcie Parady Pułaskiego, wykonałem nawet serię zdjęć, jest na nich i Pan Antoni, i Jego żona, i zarządy Okręgów i Placówek SWAP z nieodżałowanym rzeźbiarzem Andrzejem Pityńskim, krocącym po 5 Alei w mundurze SWAP. Wspominam tu mistrza Andrzeja, bo wiem, że Panowie dobrze się znali, współpracowali – mam nadzieję że

Obaj życzliwie przyjmą w niebie ten nieudolny hołd składany Im tym tekstem. Pan Chrościelewski zamówił u tego wybitnego rzeźbiarza kilka rzeźb, m.in. do Cassino, do Rzymu. Pan Chrościelewski zdecydował też z zarządem SWAP że sfinansują pomniki Ofiar Obławy Augustowskiej ustawione w: Suwałkach (2018), Augustowie (2019) i Sokółce (2020). Ten szeroki sponsoring kultury i wydarzeń patriotycznych w Polsce i Ameryce ze strony nowojorskiego okręgu SWAP wynika z kilku spraw. Przede wszystkim z dobrze

prowadzonej przez komendanta Okręgu Antoniego Chrościelewskiego i zarząd gospodarki finansowej, ale i z potrzeby serca, promocji kultury polskiej. Okręg ten finansował wiele inicjatyw, koncertów, wystaw, filmów dokumentalnych, wydawnictw książkowych, pomników, tablic pamiątkowych; pomaga prasie polonijnej, emigracyjnemu harcerstwu, szkołom polskim.

Gdy w 2012 roku organizowałem pierwszy koncert Fundacji Artura Rubinsteina

w Carnegie Hall z dwoma recitalami młodych pianistów, Zarząd SWAP zaprosił naszą grupę z Polski na kolację do Domu Weterana. Tam – wiedząc, że Państwo Chrościelewscy są melomanami, widząc pianino, poprosiłem obecną na kolacji pianistkę Annę Fedorową (grała jeden z recitali), aby usiadła na chwilę do instrumentu i dla naszych Gospodarzy zagrała „coś” Chopina. I tak się stało.

W grudniu 2019 roku, na nasz koncert do Carnegie Hall pan Antoni przybył już sam, żona nie żyła od roku. Był na wózku inwalidzkim, opiekował się nim syn Marek, rozmawialiśmy w przerwie koncertu; recital dawał w dwóch częściach polski pianista Tomasz Ritter. Widziałem u Pana Antoniego ogromne zmęczenie, chorobę, ból – ale i widziałem radość że jest z nami, że jest tylu gości, radość ze słuchania polskiej muzyki z tej wyjątkowej i ważnej światowej sceny: muzyki Chopina, Szymanowskiego, w znakomitym wykonaniu. A On znał się na muzyce. Gdy na sali koncertowej podziękowałem panu Chrościelewskiemu za przybycie, powiedziałem kim jest – otrzymał od licznie zebranej międzynarodowej widowni ogromne brawa. Byłem chyba bardzo wzruszony od Niego...

Dla takich przybyszów i gości z Polski jak ja: historyków, ludzi kultury, wydawców czy publicystów Polaków, SWAP i jego zarząd i dyrekcja Domu Weterana – ostatnio pod komendą śp. Antoniego Chrościelewskiego był bardzo otwartym na polskość środowiskiem, naturalnym, niesamowicie gościnnym; aktywnym politycznie, towarzysko i kulturalnie, elegancko dowcipnym, wspierającym kulturę, chętnie goszczącym nas. Gdy takie Osoby jak Pan Antoni umierają, odchodzą, cisną się na usta słowa amerykańskiego bohatera wojennego, m.in. kawalera Medalu Honoru i Orderu Virtuti Militari, gen. Douglasa MacArthura:

– Old soldiers never die – they just fade away.

W Polsce mówimy podobnie: Stara Gwardia nigdy nie umiera.

Wojciech Stanisław Grochowski

Korzystałem z tekstu dr. Teofila Lachowicza zamieszczonego w „Weteranie” nr 1200.

Z okazji

Jubileuszu 100-lecia

Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce
Polish Army Veterans Association of America, Inc.

gratuluje

znakomitej nieprzerwanej od 30 maja 1921 roku
działalności na rzecz Polski, Polaków i Polonii

i dziękuje

- za prawdziwy patriotyzm, wierność ideałom i wartościom: Bóg, Honor, Ojczyzna;
- za wspólnie realizowany w Polsce od 2017 roku projekt prezentacji wystawy o Armii Polskiej w Ameryce „Obóz Kościuszkowski w Niagara-on-the-Lake 1917-1919”;
- za wspieranie finansowe spotkań, prelekcji i wydarzeń organizowanych przez nas w Nowym Jorku w hołdzie Ignacemu Janowi Paderewskiemu i gen. dyw. dr. Bolesławowi Wieniawie-Długoszkowskiemu;
- za wspieranie organizowanych przez nas koncertów dedykowanych Fryderykowi Chopinowi i Arturowi Rubinsteinowi w Carnegie Hall w sali Zankel Hall w 2012 i 2019 roku;
- za Waszą wielką życzliwość i gościnność

Tych Weteranów, którzy odeszli na wieczną wartę
pamiętamy w słowach gen. Douglasa MacArthura:
„Old soldiers never die – they just fade away”

Wojciech Grochowski
Wojciech Grochowski, prezes zarządu obu fundacji
Łódź, 30 maja 2021

Międzynarodowa Fundacja Muzyczna im. Artura Rubinsteina

FUNDACJA KULTURY • BIZNES
ul. Piotrkowska 112, Łódź

Wystawa o Armii Polskiej w Ameryce

Toruń, 10 V – 30 VI 2021

Wystawa o Armii Polskiej w Ameryce będącej częścią tworzonej od połowy 1917 roku Armii Polskiej we Francji („Błękitna Armia”), prezentowana jest od 10 maja 2021 roku w Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu (Uniwersytet Mikołaja Kopernika) ul. Gagarina 13 – dyrektor dr Krzysztof Nierzwicki; wystawa pokazywana jest na II i III piętrze. Autorką wystawy jest dr Anitta Maksymowicz z Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, organizację prezentacji wystawy w polskich ośrodkach akademickich prowadzi Fundacja Kultury i Biznesu, sponso-rem tych prezentacji jest Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Okręg nr 2 w Nowym Jorku.

W 2021 roku wystawa nabiera kolejnego i także (jak w poprzednich latach od 2017 roku) rocznicowego charakteru i znaczenia. Sto lat temu, w 1921 roku,

wracali do Stanów Zjednoczonych ostatni polscy i polonijni żołnierze „Błękitnej Armii”. Walczyli o niepodległość Polski na frontach we Francji, w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919, polsko-radzieckiej 1919-1920, w Powstaniach Śląskich, przejmowali dla Polski Pomorze na mocy Traktatu Wersalskiego.

„Błękitna Armia” dowodzona od października 1918 roku przez generała Józefa Hallera to symbol tego ogromnego wkładu Polaków z różnych stron świata w walkę o niepodległość Polski, symbol wspomnianego pokojowego przejęcia Pomorza z rąk administracji pruskiej, a w związku z tym także powrotu Torunia do Polski. Symbolem powrotu miasta do Macierzy było uroczyste wkroczenie do Torunia wojsk gen. Hallera 18 stycznia 1920 roku pod dowództwem płk Stanisława Skrzyńskiego. Wojska Polskie wkroczyły od Dworca

Głównego i przez most przeszły na prawy brzeg Wisły, przemaszerowały przez Starówkę do Ratusza. „Błękitna Armia” była owacyjnie witana przez wzruszonych mieszkańców, a miasto było pięknie udekorowane w białoczerwone flagi i bramy triumfalne.

21 stycznia 1920 roku mieszkańcy Torunia uroczystie i entuzjastycznie przywitali dowódcę Frontu Pomorskiego gen. Józefa Hallera, który przemówił do wojska i tysięcy mieszkańców z balkonu Ratusza.

Zainteresowanych wystawą zapraszamy do jej oglądania w godzinach otwarcia biblioteki, tel. 56 611 44 08. Zdjęcia z wystaw oraz film krótkometrażowy o wystawie (8 minut) można oglądać na profilu: facebook.com/wojciech.grochowalski (proszę przewijać obrazy w dół, nawet do 2019 roku oraz na www.umk.pl i www.kulturaibiznes.pl (WG)



Gmach Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu



Fragment ekspozycji w Toruniu

Maria z Łodzi



Orderu Odrodzenia Polski a także Krzyżem Wolności i Solidarności;

– Maria Dmochowska, lekarz hematolog, związana z Łodzią przez ponad 50 lat do 2002 roku;

– Zmarła w Warszawie 10 lutego 2017 roku w wieku 86 lat. Żegnaliśmy Ją na Wojskowych Powązkach tydzień później.

Czy jeszcze Ją pamiętamy?

Osobiście poznałam Marysię w dość nietypowym miejscu i czasie – 14 grudnia 1981 roku w celi nr 3 V pawilonu baraków więziennych w Olszynie Grochowskiej na obrzeżach Warszawy. Internowane dziewczyny zwiezione z Łęczycy, wśród nich Marysia, już tam były; nas przetrzymywanych w Sieradzu właśnie dowieziono. Kilkunastoosobowa cela, piętrowe prycze, więc kto był pierwszy ten mógł wybrać „łóże”.

– Redaktorka, ładuj się na górę – usłyszałam zaproszenie i tak oto zdobyłam miejscówkę nad pryczą Marii. I tak wszystko się zaczęło...

Parę miesięcy później, gdy Maria wróciła do Łodzi z ośrodka internowania w Gołdapi, połączyła nas działalność w ramach Ośrodka Pomocy Internowanym i Duszpasterstwa Środowisk Twórczych, prowadzonych przez nieocenionego Ojca Miecznikowskiego SJ przy kościele jezuitów w Łodzi. Tam, na Sienkiewicza 60, dla każdego było pracy aż nadto ale przy okazji tego knucia wiele można było się o sobie dowiedzieć. To i ja poznałam wtedy Marię:

lekarza, żonę, matkę. Marię dowcipną, trochę ciekawską, zawsze pomocną.

W marcu 1989 roku, gdy „Solidarność” przymierzała się do udziału w wywalczonych przy Okrągłym Stole częściowo wolnych wyborach, Maria Dmochowska była w Łodzi najbardziej oczywistym kandydatem na listę Komitetu Obywatelskiego NSZZ „Solidarność”. Nikt, z przewodniczącym naszego łódzkiego komitetu Markiem Edelmanem na czele, nie wątpił, że nie tylko zasługuje na ubieganie się o mandat posła ale i też znakomicie poradzi sobie w kampanii.

I tak było. Jej spotkania przyciągały tłumy, jej plakaty zdobyły wszelkie możliwe słupy, płoty i witryny. Łódź chciała mieć posła kobietę.

„Uroki” pracy z Marią

Czasem bywało gorąco. Gdy poproszeni przez „Gazetę Wyborczą” o przesłanie materiału o jakimś ciekawym kandydacie, wysłaliśmy jako sztab sylwetkę Marii pióra Jacka Indelaka pod tytułem „Baba z Łodzi” to... lepiej zmilczę. O tę „babę” suszyła nam głowę, że hej. Dla niej te wybory to było coś tak poważnego, tak podniosłego, że nie pozwalała sobie na żadne zabawy językowe ani też ozdobniki. Konkretna i poważna była w tej kampanii.

W kolejnych kadencjach Sejmu 1991-1993 i 1993-1997 już razem zasiadałyśmy w ławach poselskich. Maria niezmiennie była specjalistką od spraw społecznych, ja bliższa problemom ducha – od kultury po edukację – raczej się uzupełniałyśmy niż konkurowałyśmy. I bez żalu przyznaję, że przed drzwiami Jej gabinetu zawsze

był większy tłum. To naturalne, że dla ludzi niska emerytura to większy powód do szukania pomocy niż niedostatki np. publicznej oświaty.

Maria Dmochowska bardzo ceniła coś, co można by nazwać: wspólnotą doświadczeń. To z jej inicjatywy spotykałyśmy się przez lata w personalnym składzie celi nr 3 V pawilonu w Olszynie Grochowskiej. Spotykałyśmy się, mimo, że nie byłyśmy już jedną polityczną drużyną. Ale zawsze po tej samej jasnej stronie. Jednoczący mit „Solidarności” wyraźnie się chwiał, niemniej te spotkania przetrwały wiele kryzysów, wiele podziałów, wiele międzypartyjnych konfliktów.

Nie ma już tamtych sporów, nie ma tamtej „Solidarności”, nie ma większości ludzi, którzy ją tworzyli. Co przetrwało?

Za sprawą Marii Dmochowskiej przetrwała pamięć o „łódzkich ekstremistkach”. To Ona zaskoczyła nas w 2001 roku propozycją, by 20. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego uczcić opracowaniem i wydaniem publikacji, która opowie potomnym jak to „baby z Łodzi” walczyły z generałem Jaruzelskim.

Książka powstała. Jest jedyną opowieścią o internowanych łódziankach. „Dekret na czarownice czyli historia prawdziwa prozą i wierszem” (wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2001). Może warto, gdy Marii już nie ma i nie może sama dbać o naszą pamięć, by Łódź poświęciła trochę czasu, energii a i pieniędzy na kontynuowanie Jej misji. I na stworzenie jakiegoś miejsca, symbolu, dowodu, że była taka „Maria z Łodzi”.

Iwona Śledzińska-Katarasińska

Mapa OD... DO...

Odwracam strony katalogów z dwóch ważnych wystaw łódzkiej grupy artystycznej OD... DO...¹ i odnoszę wrażenie, że potrzebuję przewodnika, który opisałaby to rozmaite terytorium. OD... DO... to spotkanie pięciu artystek. Początkiem wspólnej podróży była na pewno łódzka Akademia Sztuk Pięknych imienia Władysława Strzemińskiego, ale co dalej? Bo jeśli grupa, to co jest jej spoiwem? Drogi twórcze uczestniczek prowadzą na zewnątrz i do środka. Można odnieść wrażenie, że to harmonijny związek, w którym każdy zachowuje swoją wolność i niezależność ale jednak jest obecny by wspierać i dyskutować.

Chciałoby się wymienić członkinie grupy tak jak wymienia się muzyków zespołu, kiedy mówimy skrótowo o tym kto na czym gra, nie rozgadując się zbyt wiele o do charakterów i złożonych talentów. Potem zwykle słuchamy koncertu i muzycy są wymieniani w trakcie, a potem jeszcze raz przy oklaskach. Zwykle

malowanie, rysowanie, te wszystkie czynności związane z tworzeniem wykonuje się zwykle w samotności. Wobec tego spotkanie z innymi artystkami to święto wspólne go spędzenia czasu, rozmowy, możliwość konfrontacji poglądów. Wspólne działania ułatwiają zarządzanie efemeryczną sztuką, pozwalają znaleźć odpowiedni



Milena Romanowska, „Miejsce zapomnienia”, olej na płótnie, 80 x 105 cm, 2020

wtedy już pamiętamy, kto na czym i jak gra. Czasem w przerwach między utworami konferansjer opowiada małe dyktetyki dotyczące muzyków. Wchodziliśmy do sali koncertowej gdy było jeszcze jasno na dworze, a po zakończeniu występu zastaliśmy ciemny wieczór, i nawet jeśli pada to niesie nas do domu wspomnienie przeżytego koncertu. Spróbujmy przenieść się na takie spotkanie z grupą OD... DO...:

- **Joanna Apanowicz:** porcelana, grafika, książka artystyczna;
- **Aleksandra Mańczak:** tkanina, fotografia, instalacja;
- **Milena Romanowska:** malarstwo, rysunek, grafika;
- **Elżbieta Szczepiełowska:** malarstwo, tkanina, papier;
- **Joanna Wiszniewska-Domańska:** grafika, rysunek, książka, obiekt.

OD... DO... nie jest jakimś wytyczonym odcinkiem, który posiada swój początek i koniec. Nazwa grupy sugeruje raczej otwartość, wielość i skłonność do dialogu. Łączenie różnych form wyrazu w jedną, nośność znaczeniową, precyzja w operowaniu narzędziami i technikami. Grupa jest grupą bo osoby które ją tworzą mają część wspólnych wartości, chcą się wspierać w organizowaniu wystaw, wydawaniu katalogów. Inicjatorka grupy Joanna Wiszniewska-Domańska podkreśla, że

czas i miejsce by mogła zaistnieć w szerzej świadomości.

*

Joanna Apanowicz – tworzy prace niezwykle delikatne, kruche i łagodne. To wrażenie wywieść można wprost z używanych przez nią materiałów, które łączy w sposób harmonijny, zatracając granice między porcelaną, szkłem, papierem, tkaniną. Gra pianą formami i kolorami. Obiekty i reliefy skłaniają do oglądania ich z bliska co przypomina sytuację, w której czytamy książkę. Kształty, którymi operuje mają charakter abstrakcyjny, ale budzą przedmiotowe skojarzenia z kropelkami wody, literkami, rozsypanymi ziarenkami, koralikami, skorupkami jajek lub muszelek. Prace tak jak kartki pamiętnika, niosą treści osobiste, ułożone z własnych skojarzeń, symboli i wspomnień. Nawet jeśli zawierają silne emocje to jednocześnie mają charakter wyważonej, eleganckiej wypowiedzi i nie naruszają granic intymności prywatności.

Portrety **Aleksandry Mańczak** reprezentujące artystkę na wystawach OD... DO... stanowią żartobliwy wyraźny akcent w kompozycji całości prac grupy. To: dystans, poczucie humoru i czysta forma nowoczesnych fotograficznych kolaży dostosowana do zamierzonego przekazu. Odwołują do XVI wiecznych portretów Arcimbolda ułożonych z owoców, warzyw, książek i innych

przedmiotów – tak jak one stanowią przewrotne martwe natury. *Menki: Kuchmenka, Łachmanka, Erotomanka, Fenomenka* włączają się w globalną dyskusję o znaczeniu urody, piękna i siły, która najlepiej gdyby była męska... bo inaczej kobieta może pozostać zbiorem naczyń, garstką suszonych kwiatków, perfekcyjnie wyprasowanymi i poukładanymi ubraniami. *Supermenka* to jednak wyjątkowa bohaterka, która niejedno potrafi.

Milena Romanowska – jej rytmiczne graficzne pejzaże miejskie to olejne malarstwo na płótnie. Kompozycje, o specyficznej atmosferze pustki, którą człowiek stwarza zabudowując polacie przyrody betonowymi elementami, metalowymi kratami, schodami donikąd. Smutek betonowej pustyni, kolumnady, zwielokrotnione cieniami i słonecznymi błyskami tworzą surrealistyczną senną przestrzeń. Liczą się tu zasady perspektywy, to co widoczne wprost na obrazie i to co pozostające w domyśle. *Grodzenia*

oddzielają fragmenty niby czyichś przestrzeni, zamykające właściciela w pewnym znanym wymiarze. Człowiek nie jest tu obecny jako figura, ale jako sprawca architektonicznej manifestacji trwania.

Muzyczne, impresyjne obrazy **Elżbiety Szczepiełowskiej** prezentowane w ramach OD... DO..., to formy o charakterze abstrakcji niegeometrycznej. Staranne otwarte kompozycje, zbudowane z malarzskich barwnych plam, usystematyzowane rytmem gestu pędzla: płyną w poziomie, w pionie, wirują przypominając w tym naturę zjawisk wody. Płaszczyzny płócien pozostają stonowane zwykle z dominantą kolorystyczną i walorową, w której jedynie pobłyskują akcenty innych barw. Wybrzmiewają w sposób spokojny jakby z oddali. Wartości wywiedzione wprost z konkretnych utworów muzycznych artystka transponuje przy pomocy pędzla na jakości widzialne. O nienachalnym wyrazie płócien decyduje wybór między innymi homogenicznych, unistycznych kompozycji dźwiękowych Zygmunta Krauze olśnionego ideami Strzemińskiego. Obrazy Elżbiety Szczepiełowskiej analogicznie do przebiegu wybranych utworów są jednolite pozbawione kontrastów. *Trwają.*

Joanna Wiszniewska-Domańska kreuje cały równoległy do realnego symboliczny świat. Panują tam ściśle wytyczone zasady podyktowane przez *prawdę, dobro i piękno*. Stale obecna w jej pracach postać everyma-



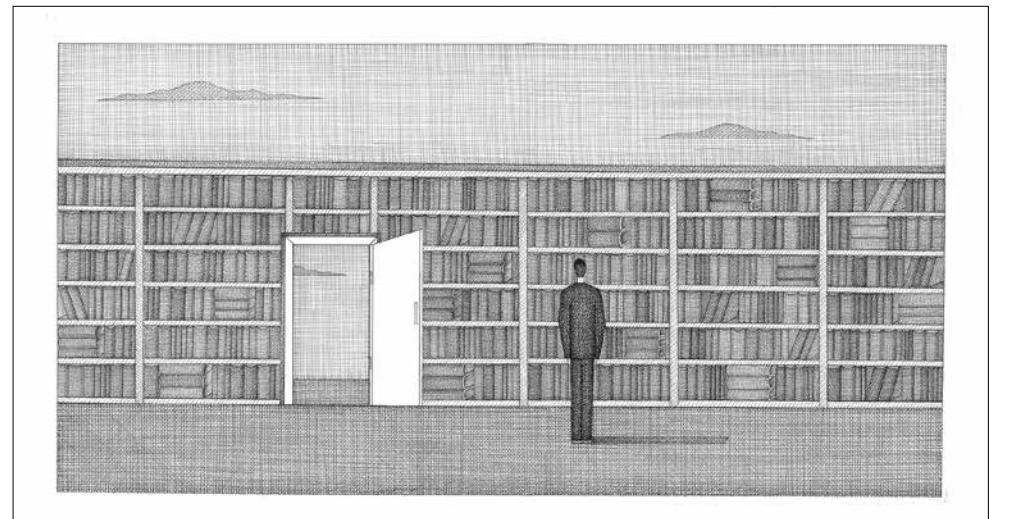
Joanna Apanowicz, Relief na szkle, technika mieszana, seria „Jungo”, 2019

na konfrontuje się tu z metaforami poezji, dostaje wiele trudnych zadań do rozwiązania, staje przed wyborami, podróżuje. Spójne, skonstruowane z drobnutkich czarnych kresek graficzne konfiguracje dotyczą obiektów, książek artystycznych i prac dwuwymiarowych. Czarna podróżna walizka, czerwone róże, mały człowieczek odwrócony do widza plecami, książka, stanowią najbardziej właściwe paradygmaty tego lirycznego terytorium sztuki. Symbole, znaki, mity i baśnie przed tym wszystkim człowiek staje zupełnie samotny, ale wspierany archetypiczną mocą pradawnej pamięci i marzeń.

*

Kontakt z twórczością pięciu łódzkich artystek: porcelanowo-szklanymi reliefami Joanny Apanowicz, fotograficznymi kolażami Aleksandry Mańczak, obrazami architektury Mileny Romanowskiej, abstrakcyjnym malarstwem Elżbiety Szczepiełowskiej, symbolicznymi kompozycjami Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej, pozwala odnaleźć wspólną oś grupy. OD... DO... z pewnością umacnia tradycje awangardowej Łodzi, gdzie wartość stanowią: klarowność, precyzja i celowość artystycznej wypowiedzi.

Ita Haręza
(kierownik Galerii „Zamek” w Reszlu)



Joanna Wiszniewska-Domańska, „Biblioteka niezapisanych historii”, rysunek (isograph, kredka, ołówek), 27,5 x 54 cm, 2021

Fotofestiwal 2021, Łódź

Na 10 czerwca 2021 roku zaplanowano inaugurację kolejnego Fotofestiwalu w Łodzi. Na Fotofestiwal zaprasza Miasto Łódź, Fundacja Edukacji Wizualnej i Łódzkie Centrum Wydarzeń; festiwal dofinansowany został przez Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, sponsorem jest firma Rossmann.

Jest to już 20. Międzynarodowy Festiwal Fotografii, który potrwa do 27 czerwca. Jednym z większych i głównych tegorocznych wydarzeń będzie prezentacja prac 34. artystów, poświęcona łódzkiej scenie artystycznej. Na tej zbiorowej wystawie zatytułowanej „Reinkarnacja”, w Art-Inkubatorze (ul. Tymienieckiego 3) w Fabryce Sztuki w Łodzi prezentowane będą m.in. prace: Ryszarda Waśko, Aleksandry Ska, Karoliny Breguły, Karoliny Wojtas czy Grzegorza Przyborka; kuratorem wystawy jest prof. Józef Robakowski.

Jak piszą organizatorzy w materiałach promocyjnych festiwalu:

Łódź to nie tylko miasto, to zjawisko kulturowe. W kontekście historycznym postrzegana była jako miejsce „ukarane przemysłem”, o zranionej tożsamości, w którym sztuka stała się remedium na żmudne, robotnicze życie. Być może właśnie ten element współdzielenia i współpracy stworzył warunki do narodzin wielu awangardowych środowisk, ruchów artystycznych, instytucji i wydarzeń takich jak: grupa Jung Jidysz, grupa „a.r.”, współtworząca Muzeum Sztuki w Łodzi, Warsztat Formy Filmowej, Łódź Kaliska, Kultura Zrzuty, Konstrukcja w Procesie czy Łódź Biennale. W podobnym duchu, 20 lat temu, w wyniku działalności studentów i wykładowców trzech uczelni: Uniwersytetu Łódzkiego, Akademii Sztuk Pięknych i Szkoły Filmowej w Łodzi powstał Fotofestiwal. Co łączy te wszystkie inicjatywy? Awangarda, szaleństwo, zapał, kolektywna natura i jak mówi prof. Józef Robakowski – „łódzka szajba”.

I w takim duchu tworzona jest wystawa „Reinkarnacja 2021”. To manifestacja kultury kolektywnej i wolności. Autorzy zaproszeni do współtworzenia tego zbiorowego przedsięwzięcia reprezentują trzy pokolenia łódzkich twórców – począwszy od patrona wystawy Wacława Antczaka urodzonego w 1911, po współczesnych artystów debiutujących w ciągu ostatnich 10 lat. Każdy z nich, w pewnym momencie swojego życia, współtworzył artystyczny tygiel miasta. Prezentowane prace często nawiązują do ważnych wątków historycznych na przestrzeni

ostatnich 50 lat, jednak dominującym elementem narracji są elementy współczesne i uniwersalne: indywidualizm, wolność i przestrzeń twórcza. Głównymi ogniwami ekspozycji są najbardziej charakterystyczne lub aktualne wątki w twórczości artystów.

A motywem przewodnim jest miasto Łódź jako przestrzeń artystyczna oraz, przede wszystkim, jako przestrzeń do życia, bo jak mawiał Michaił Matiuszyn, przedstawiciel awangardy rosyjskiej: „Sztuka tak... ale najważniejsze jest życie!”.

Tegoroczne wystawy festiwalu to: Reinkarnacja 2021; Czula uwaga. Urszula Czarotorska wobec fotografii; Opowieści z Miasta Łodzi; Program Miasto; Talenty Futures; Andrzej Różycki, Przejęcia. Między zbieractwem a fotofotografią; Program Otwarty (zdjęcia ze świata).

Wystawa „Czula uwaga. Urszula Czarotorska wobec fotografii” to kolekcja fotografii skompletowana dla Muzeum Sztuki w Łodzi przez Urszulę Czarotorską (1934-1998) w końcu XX wieku. Z bogatej kolekcji ponad 3.000 prac, na wystawie zaprezentowanych zostanie 170 zdjęć, prace z końca XIX, XX ale i początku XXI wieku. Wystawa „pozwala także prześledzić ewolucję medium opisywanego przez Czarotorską jako „niepowtarzalny środek porozumienia”.

„Budowana przez Czarotorską kolekcja fotografii Muzeum Sztuki tworzona była z wyczuciem pulsu współczesności. Powstawała ze zrozumieniem dynamicznych przemian w obrębie kultury wizualnej a także indywidualnych procesów twórczych. Odzwierciedla kluczowe momenty w historii fotografii oraz zmieniającą się rolę tego medium. Wystawa w ms² prezentuje publiczności postać i praktykę wybitnej kuratorki i krytyczki sztuki. Jej badania, teksty i ciekawość fotografii we wszystkich przejawach ukształtowały nie tylko kolekcję muzeum, ale także całe pokolenie polskich artystek i artystów. Tytuł wystawy pochodzi z tekstu Czarotorskiej. Określa postawę twórczą i badawczą, która wiąże się z czujnością, otwartością i zaangażowaniem. We współczesnym kontekście pozwala zauważyć, że takie kategorie jak wrażliwość, czułość czy praca troski, nie są na nowo konstruowane, lecz ponownie odkrywane”. (Według materiałów: Anny Bohdziewicz, „Fotodziennik”, 1988 r., kolekcja Muzeum Sztuki; Zygmunta Rytki, „Bluff”, 1978 r., kolekcja Muzeum Sztuki)

Na ekspozycji przedstawione będą fotografie takich artystów jak: Konrad Brandel, Jan Bulhak, Janusz Maria Brzeski, Wojciech Bruszewski, Zbigniew Dłubak, Bogdan Dziworski, Teresa Gierzyńska, Krystyna Gorazdowska, Zdzisław Jurkiewicz, Edward Hartwig, Florence Henri, Jarosław Kozłowski, Aleksander Krzywobłocki, Jalu Kurek, Natalia Lach-Lachowicz, Jerzy Lewczyński, Bożena Michalik, Antoni Mikołajczyk, Nadar, Fortunata Obrąpalska, Roman Opalka, Marek Piasecki, Julia Pirotte, Józef Robakowski, Ewa Rubinstein, Zofia Rydet, Mikołaj Smoczyński, Bronisław Schlabs, Anton Stankowski, Andrzej Strumiłło, Jindřich Štreit, Antanas Sutkus, Stefan Thémerson, Stanisław Ignacy Witkiewicz i in.

Fotografie **Ewy Rubinstein** znane są łodzianom bardzo dobrze, zarówno te o tematyce łódzkiej jak i inne z szerokiej oferty artystycznej; artystka rozpoczęła fotografować w 1967 roku w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkała i mieszka do dziś.



Urszula Czarotorska – historyk sztuki, fot. Ewa Rubinstein, 1984, z albumu „Łódź chwilowe spotkania”, Łódź 1998.

Prof. Stanisław Fijałkowski (1922-2020)



W listopadzie 2020 roku zmarł prof. Stanisław Fijałkowski, wybitny malarz, grafik, pedagog, od 1947 roku związany z Łodzią i Akademią Sztuk Pięknych – wcześniej Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych. Malował w technice olejowej, uprawiał grafikę w technikach metalowych, w ostatnim czasie grafikę komputerową, w formie i treści abstrakcyjne, geometryczne, surrealistyczne; także tłumacz prac Wasyła Kandynskiego. Był przedstawicielem sztuki awangardowej, był uczniem i asystentem Władysława Strzemińskiego, należał do „Kręgu Strzemińskiego”. Absolwent i profesor ASP w Łodzi, także doktor honoris causa uczelni (2002). Jego prace znajdują się w muzeach na całym świecie (m.in. Museum of Modern Art w Nowym Jorku), na aukcjach osiągają wysokie ceny.

Dużą, przekrojową, retrospektywną wystawę Jego prac zorganizowała Galeria Atlas Sztuki w Łodzi w marcu 2010 roku; pokazano wówczas 88 obrazów – najstarszy z 1947 roku. Tłum gości na wernisażu urzekały wówczas obecność artysty z małżonką

– oboje byli w znakomitej formie i humorach, wielość i przekrój prac. Atlas Sztuki wydał duży profesjonalny katalog.

Stanisław Fijałkowski urodził się w Wołyniu; zmarł w Łodzi 4 listopada, w dniu 98. urodzin. Profesor był bohaterem „Kultury i Biznesu” numeru 3/2002, tekst opracował Janusz K. Głowacki. Biogram artystyczny czytaj m.in. na: www.asp.lodz.pl

Jako wydawca i redakcja mamy do Niego także wdzięczność i podziękowanie indywidualne, osobiste, gdyż w chwili organizacji kilka lat temu przez naszą fundację aukcji charytatywnej i szukania pieniędzy na wydawanie czasopisma – pan Profesor odpowiedział natychmiast na nasz apel. Zaprościł mnie do siebie do domu na Radogoszcz, po rozmowie i wypiciu herbaty pojechaliśmy moim samochodem do Jego pracowni przy ul. Zgierskiej. Tam, zanim przystąpiliśmy do wyboru prac na aukcję, poprosiłem Profesora o kolejną rozmowę (wywiad) do „Kultury i Biznesu”, nagraliśmy ją, rozmawialiśmy o sztuce, łódzkim środowisku plastycznym, akademii, o Jego aktualnych pracach – tworzył grafiki komputerowe. Na moje pytanie, jak je traktować w kwestii oryginału, skoro

Pierwsza jej wystawa w Łodzi miała miejsce w Muzeum Sztuki w 1984 roku w dużej mierze za sprawą zafascynowanej jej pracami Urszuli Czarotorskiej. Również za jej sprawą – wtedy pracowała jako kustosz w Muzeum Sztuki – pani Ewa przyjechała do Łodzi po raz pierwszy. Następne wystawy artystki były w Warszawie, Katowicach, Krakowie, w latach późniejszych wystawy zdjęć Ewy Rubinstein organizowało Muzeum Miasta Łodzi, galeria na Zamku w Poznaniu, Galeria Zachęta w Warszawie (1996 r.) czy w Bydgoszczy (2015 r.).

W ostatnich latach autorka bywa regularnie w Łodzi na Rubinstein Piano Festiwalach (dedykowanych jej ojcu, słynnemu pianiście) organizowanych przez Międzynarodową Fundację Muzyczną im. Artura Rubinsteina w Łodzi (prezes zarządu Wojciech Stanisław Grochowski). Podczas kolejnych edycji Fundacja urządzała wielokrotnie wystawy fotografii pani Ewy w: Łodzi, Warszawie, Paryżu, Genewie, Rapperswilu, Nowym Jorku. (WG)

mogą być drukowane masowo na drukarce laserowej, Profesor odparł:

– Tylko ta jest oryginałem, którą podpisałem.

No a później przystąpiliśmy do biznesu. Profesor poprosił o dokładne przybliżenie aukcji, celu, miejsca, jakich artystów zaprosiłem etc. Powiedział, że przekazać nam pracę, dużego formatu grafikę, że cena minimalna nie może być niższa od podanej przez Niego i mam Mu przekazać sprawozdanie i wyniki aukcji. Następnie wysunął pierwszą szufladnię, były w niej czarnobiałe grafiki miedzioryty z lat 60. XX w., w drugiej były z lat 70., w innej obrazy itd. Otworzył zeszyt, rodzaj skrowidza, w którym były zapisane tytuły grafik, daty, liczba odbitek znajdujących się w szufladach, komu i kiedy dał lub gdzie sprzedał. Zapytał czy mnie interesuje grafika z lat 60. i jakie tematy? Gdy powiedziałem, że tak – wybraliśmy z trzech zaproponowanych jedną, Profesor odłożył ją na stół, odnotował w zeszycie, podpisał, zapakował i przekazał mi. Podpisałem chyba w tym zeszycie, że ja otrzymałem. Na aukcji uzyskała wysoką cenę.

Wojciech St. Grochowski

Joanna Miklaszewska – fotografie

Artystka jest fotografikiem, twórczynią filmów i instalacji artystycznych, przedstawień i projektów artystycznych. Ukończyła studia na Wydziale Komunikacji Multimedialnej w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Aktualnie jest w trakcie studiów doktoranckich na wydziale operatorskim w Szkole Filmowej w Łodzi (specjalność – fotografia). Brała

udział w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych, jej prace wystawiane były m.in. na Biennale Fotografii w Poznaniu, Fotofestiwalu w Łodzi czy w Yours Gallery w Warszawie. W wolnym czasie spełnia się jako pedagog i dydaktyk, prowadząc warsztaty z rysunku, malarstwa, fotografii i edukacji wizualnej. Jest pełna podziwu dla twórczości Ewy Rubinstein.



Joanna Miklaszewska, Śladami Ewy Rubinstein, „Przetrwaję najtwardsi”, ul. Kilińskiego, Łódź 2021



Joanna Miklaszewska, „Próba”, Monika i Gintautas Potockas, Karolina Jaremkó, Teatr Wielki w Łodzi, 2021



Joanna Miklaszewska, „Kwartet”, od lewej: Małgorzata Smyczyńska-Szulc (wiolonczela), Ewelina Zawisłak (flet), Agnieszka Kołodziej (wiolonczela), Agnieszka Przybylska (fortepian), Łódź 2020

Fotografia dla Joanny Miklaszewskiej zawsze była i jest próbą połączenia sztuki i umiejętności – znalezienia idealnego balansu pomiędzy estetyką a sztuką. Idealnie definiuje to mówiąc: *Sztuka fotografii jest wyrazem emocji i uczuć. Moim ideałem jest zdjęcie, w którym treść poetycka łączyłaby się z energią chwili.*

Niemal od zawsze tematem jej prac są ludzie: *Obiektyw mojego aparatu najczęściej jest skierowany na człowieka, bo właśnie portret wydaje mi się najlepszym środkiem poznania osoby, z całym jej życiowym i absolutnie unikalnym bagażem doświadczeń.*

Na jej koncie znajduje się wiele portretowych sesji fotograficznych zarówno indywidualnych, jak i grupowych. Fotografowanie ludzi jest dla niej okazją do odnajdowania

piękna, charakteru oraz indywidualności. Tworząc fotografię portretową ma okazję do spojrzenia w głębię „osobowości” fotografowanej osoby, odkrycia jej „drugiej twarzy” oraz ukazania jej w nowym świetle. Interesuje się także fotografią reportażową; tworzyła wiele fotografii na planach filmowych i reklamowych.

Od kilku lat jej pasją stała się fotografia teatralna, baletowa, a szczególnie operowa – zatrzymuje bowiem w kadrze spektakle łódzkiego Teatru Wielkiego. Proces dokumentowania kolejnych etapów prac nad spektaklami, jak sama mówi: *daje władzę nad czasem, a możliwość obserwowania dramaturgii budowania artystycznej relacji i kreacji – jest zjawiskiem fascynującym.* (Red.)



Ewa Rubinstein, „Ślepe okno, ul. Kilińskiego”, Łódź 1984



XXXVIII Konkurs im. Władysława Strzemińskiego

Nagrody Fundacji Kultury i Biznesu

Po kilkuletniej przerwie, w 2021 r. Fundacja Kultury i Biznesu przyznała swoje nagrody w kolejnym, XXXVIII Konkursie im. Władysława Strzemińskiego w Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Zarząd fundacji (Wojciech Grochowalski) nagradzał młodych artystów od początku istnienia konkursu, w latach 90. XX w. wówczas jeszcze jako właściciel firmy papierniczej. Po 2003 roku nagradzaliśmy już jako fundacja. Przede wszystkim przez tamte „stare lata” nagradzaliśmy artystów studentów i absolwentów PWSSP/ASP biorących udział w konkursie, wystawiających swoje prace na papierze. Do takiej obecności i udziału w konkursie poprosił nas prof. Jacek Bigoszewski i on był na początku naszym mentorem i pośrednikiem pomiędzy kulturą/sztuką (konkuresem) a przyznającym nagrody tj. biznesem, czyli firmą/fundacją.

Fundacja nagrodziła w 2021 r. czterema nagrodami następujących młodych artystów:

- **Weronikę Filipczak** – nagrodą pieniężną (za malarstwo sztalugowe);
- **Sandrę Stojańską** – papierem artystycznym ręcznie czerpanym (za gra-

fiki w technikach włókniarskich: akwaforta, sucha igła, kolografia).

Nagrodami dla obu artystek są też poniższe prezentacje.

Oglądając prace konkursowe (ponad 80. artystów) widać odzwierciedlenie sytuacji w kraju i na świecie. Przede wszystkim widać w dziełach młodych artystów dużo smutku, przygnębienia, strachu, czarnych wizji; brak radości, światła, słońca, koloru. Wyszędłem z wystawy bez szczególnego zachwyty i radości, za mało w tych pracach piękna co zachwyca (tak po norwidowsku: „Bo piękno na to jest – by zachwycało...”), ale tak rozum jak dusze tych młodych twórców zajęły mnie piękne zagadnienia. Zabrano im dwa lata młodego życia w tym covidowym okresie, przyjaźnie, zabawy.

Na parkanie przed ASP ktoś napisał: Za dużo artystów – za mało sztuki.

Wręczenie nagród i wystawa prac laureatów konkursu miała miejsce 13 kwietnia 2021 w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi (Park Sienkiewicza).

Weronika FILIPCZAK malarstwo

Weronika Filipczak (ur. 1998 w Łodzi) jest studentką III roku ASP studiów stacjonarnych magisterskich na Wydziale Sztuk Pięknych. W Instytucie Grafiki Projektowej wykonała cykl prac prezentowanych i nagrodzonych na Konkursie Strzemińskiego: sześć obrazów w tym trzy olejne na płótnie i trzy akwarele, w Pracowni Semantyki Obrazu pod kierunkiem dr. hab. Zbigniewa Nowickiego prof. ASP.

– Obrazy olejne: *Pola radogoskie*, 60 x 80 cm, 2019; *Tęsknota*, 35 x 50 cm, 2020; *Z pewnego powodu*, 60 x 90 cm, 2020;

– akwarele: *Dezintegracja*, 13,2 x 21 cm, 2020; *Dekonstrukcja*, 13,7 x 21 cm, 2021; *Pola bruskie*, 19,5 x 27,5 cm, 2021. Miejsce pleneru tytułowego „radogoskie” dot. osiedla



Radogoszcz w Łodzi zaś „bruskie” dot. osiedla Brus na granicy Łodzi i Konstanczyna.

Artystka uprawia malarstwo, grafikę, rysunek. Wiele swoich prac malarskich, rysunkowych wykonanych ołówkiem i tuszem oraz grafik zaprezentowała w 2019 roku na dwóch wystawach w Galerii Artium w Pałacu Młodzieży w Łodzi, gdzie uczęszczała na zajęcia plastyczne przed rozpoczęciem studiów. Były to wystawy z cyklu „Absolwenci pracowni rysunku i malarstwa Małgorzaty Urbaniak-Wawrzyniak”. Opisując jej wystawę napisano wówczas, że: „uwagę przyciągają rysunki studyjne i wykonane tuszem delikatne, precyzyjne, tworzone misternym ornamentem rysunki zwierząt”. Istotnie dużo ładnej przyrody w jej pracach, w rysunkach ptaki, żaby, nietoperze, kwiaty; w malarstwie pejzaż pełen pól, drzew, polan, potoków, kwiatów.

W 2019 roku pokazywała fotografie w Galerii Look ASP Łódź oraz w Art Inkubator – Fabryka Sztuki.

Artystka napisała do naszej redakcji: „W zależności od treści, jakie chcę przekazać, wybieram technikę, która w największym stopniu z nimi koresponduje, stąd duża rozbieżność między moimi pracami wykonanymi w technice malarstwa olejnego, a grafice warsztatowej. Różne media pozwalają mi podejść do zajmujących mnie treści w odmienny sposób, dzięki czemu nie zamykam się w jednym konkretnym rodzaju twórczości, zostawiając sobie pole do eksperymentu. Przykładowo: prace wykonane w technice akwareli stają się łącznikiem pomiędzy tradycyjnym malarstwem olejnym, a grafiką, zawierając w sobie cechy ich obu. W ostatnim czasie, głównym motywem, który mnie zajmuje jest związek pomiędzy naszą percepcją, a stanem wewnętrznym, stąd postępujące w moich pracach przetworzenie form zaobserwowanych, na formy abstrakcyjne – ideowe, kształty wspomnień, pamięci, emocji lub występowanie form jako nośników informacji”.



Pola radogoskie



Tęsknota



Sandra STOJAŃSKA

grafika

Urodzona w 2000 roku w Bielsku-Białej, w latach 2012-2018 uczęła się w Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Sztuk Pięknych im. Juliana Fałata w Bielsku Białej. Aktualnie studiuje na Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi na Wydziale Sztuk Pięknych, grafika i malarstwo w Instytucie Grafiki Artystycznej. Specjalizuje się w technikach druku wklęsłego, wypukłego malarstwie oraz fotografii.

W czasie nauki w szkole średniej brała udział w licznych wystawach na terenie Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Sztuk Pięknych im. Juliana Fałata w Bielsku Białej. W 2015 oraz 2016 roku została laureatką nagród indywidualnych za dwa cykle fotografii w ogólnopolskim konkursie „Szeroki Kadr – Akcja (Foto)edukacja”, były to: „Portret rodzinny” oraz „Portret w świetle zastanym”. W 2021 roku otrzymała wyróżnienie w Biennale Kitchen Litho w Charmes we Francji za grafikę „LDZ” w technice akwaforty, w tym samym roku brała udział w międzynarodowym projekcie „Carmo, Chiado i Bal Maskowy” koordynowanym przez profesora Jose Quaresamę z Uniwersytetu w Lizbonie. Jej prace pokazane zostaną w: Portugalii, Francji i w Polsce. Zaprezentuje w tym projekcie najnowszy cykl grafik zatytułowany „HOME” a odnoszący się do tematu Bal Maskowy.

W 38. Konkursie Władysława Strzemińskiego w Łodzi została wyróżniona przez Fundację Kultury i Biznesu za cykl grafik w technikach wklęsłodruku.

Jak napisała artystka: „Cykl grafik przedstawia przede wszystkim Łódź, pokazaną z różnej perspektywy, o różnych porach, charakterach oraz emocjach. Starałam się zachować pewne podobieństwa między poszczególnymi grafikami. Główną inspiracją do stworzenia tego cyklu była codzienność, którą mijamy, lecz zazwyczaj nie skupiamy się na niej zbyt długo, przechodzimy obok, zapominamy. Ten moment chciałam właśnie pokazać prosty, lecz mocny, ekspresyjny i odważny w swojej formie. W moich pracach staram się dzielić swoimi emocjami, inspiracjami, żeby jak najlepiej trafić do odbiorcy. Jeśli chodzi o charakter moich prac to są one bardzo żywiołowe, energiczne, co może się wiązać także z moim charakterem. Zazwyczaj staram się wyjść od prostej formy, która przez nawarstwienie linii staje się pełna, wibrująca, zdecydowana. W moich pracach można zauważyć inspirację ekspresjonizmem niemieckim, impresjonizmem”. (Red)

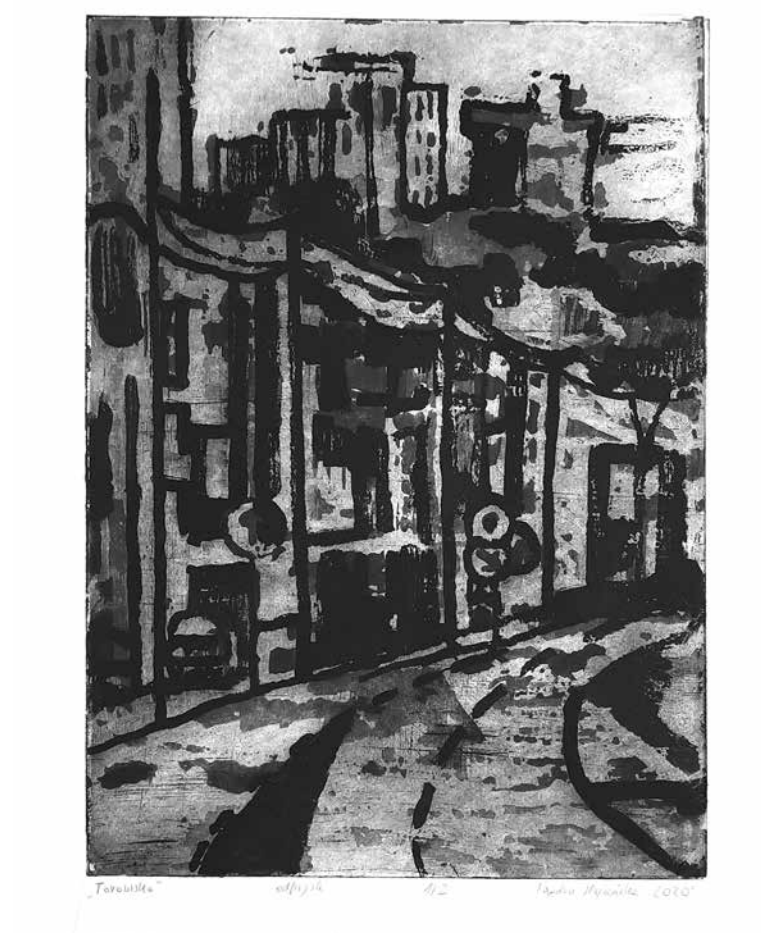
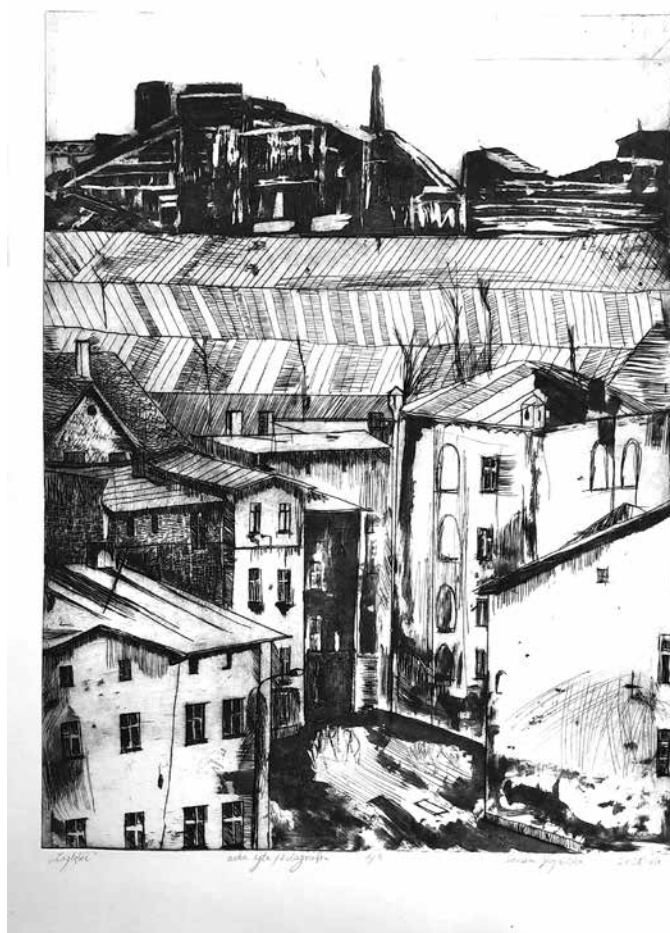
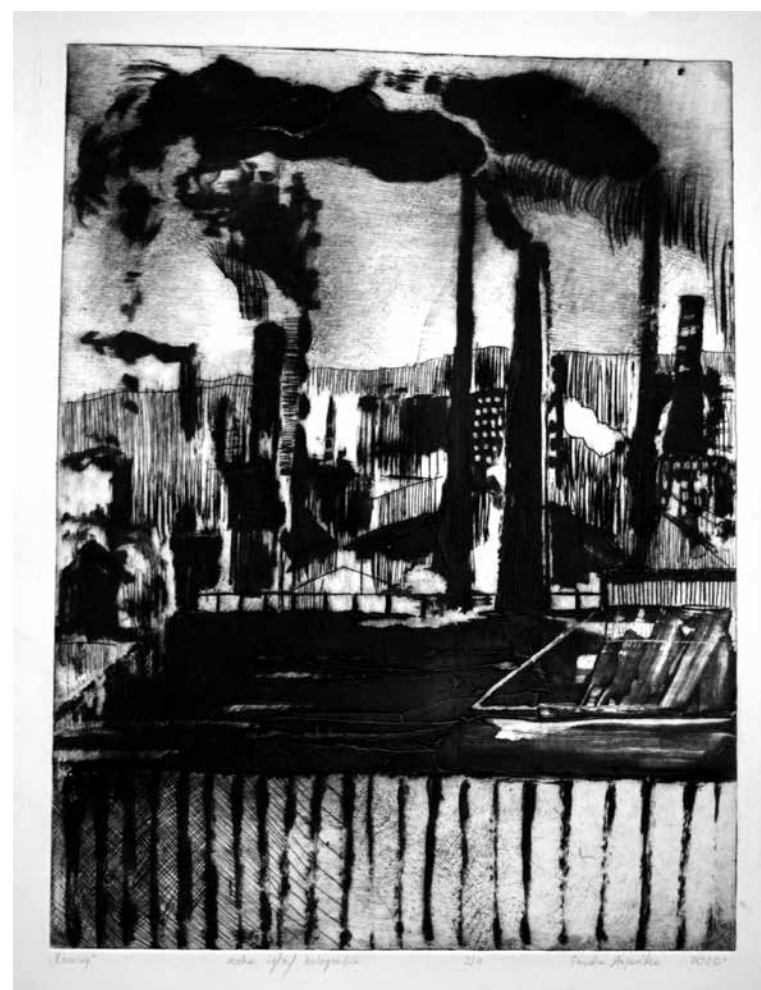
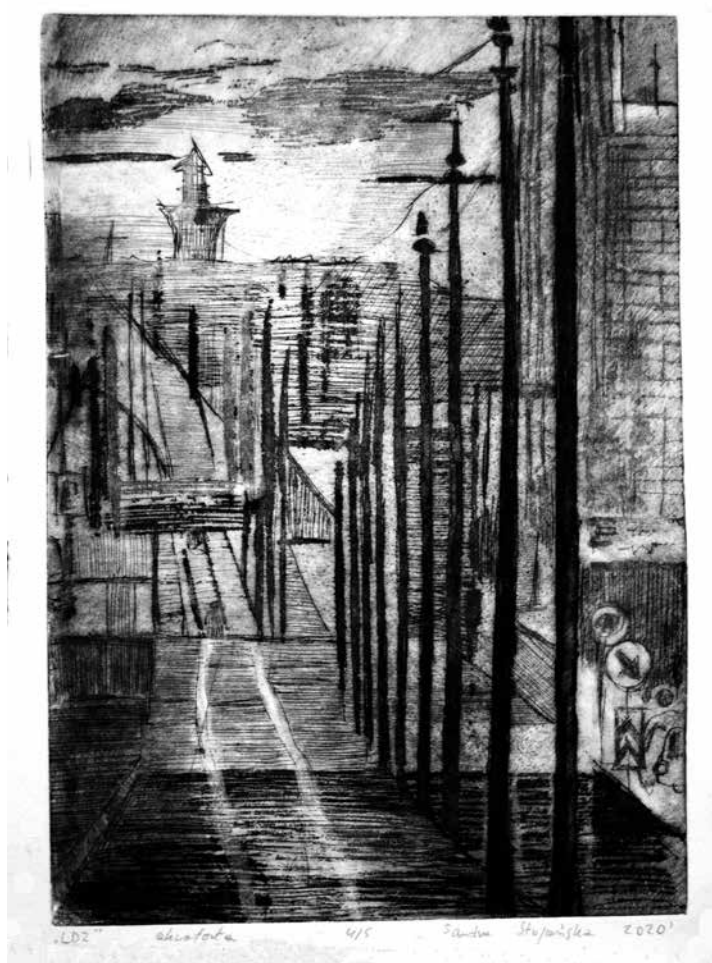
Prezentowane obok prace artystki,
od górnej lewej:

LDZ, akwaforta, 17 x 24 cm, 2020

KOMINY, kolografia, sucha igła,
34 x 46 cm, 2020

ZAGŁĘBIE, kolografia, sucha igła,
34 x 46 cm, 2021

TOROWISKO, odprysk, 26 x 35 cm, 2020



Podczas gdy świat muzyczny wyraźnie zwolnił tempo, Łukasz Borowicz wciąż działa na pełnych obrotach i stale wznoszącej się fali. W wieku 43 lat udało mu się osiągnąć sukces i renomę, o jakiej wielu dyrygentów jego pokolenia mogłoby tylko pomarzyć.

Maestro Łuk

Laureat „Paszportu Polityki” (2008), „Koryfeusza Muzyki Polskiej” (2011) oraz nagród imienia Norwida (2013) i Aleksandra Tansmana (2014), na brak pracy w minionym roku nie mógł z pewnością narzekać. Pandemia, która tylu muzyków pozbawiła motywacji do pracy, w nim wyzwoliła pokłady kreatywnej energii. Znamy go, że nie boi się wyzwań i chętnie podejmuje artystyczne ryzyko. A los lubi odważnych. I najwyraźniej sprzyja Borowiczowi, przed którym otwierają się coraz to ważniejsze estrady w Polsce i na świecie.

Rodzinna Warszawa i wyjątkowy Poznań

Kiedy proszę go o rozmowę, z trudem znajduje lukę w napiętym kalendarzu. Niemal co tydzień prowadzi internetowe koncerty, a niebawem zrealizuje kolejne nagranie z Orkiestrą Filharmonii Poznańskiej. Od 15 lat jest jej pierwszym, gościnnym dyrygentem, muzycy uwielbiają z nim współpracować. On też nie może się ich nachwalić:

– Poznań to wyjątkowe miejsce w skali światowej. Znakomity zespół, świetni muzycy, wspaniali ludzie. Najbardziej wierna i kochająca publiczność, zawsze szczelnie wypełniająca Aulę Uniwersytetu Adama Mickiewicza, bez względu na program czy pogodę.

Dyrektor Filharmonii Poznańskiej, Wojciech Nentwig, poznał Borowicza wiosną 2006 roku:

– Otwieraliśmy wówczas nowy rozdział w działalności naszej instytucji. Łukasz był jeszcze bardzo młody, ale postanowiłem powierzyć mu funkcję gościnnego dyrygenta naszego zespołu. Dla mnie to największa osobowość dyrygencka jego pokolenia. Człowiek o niesamowitej pasji, która towarzyszy mu we wszystkich działaniach. Emanuje wewnętrznym ciepłem, co zjednuje mu wszystkich od pierwszego kontaktu. Czuje się, że on lubi i szanuje ludzi, kocha muzykę i muzyków, a oni nie tylko go cenią, ale czerpią też wielką przyjemność ze wspólnej pracy.

Miłość Borowicza do muzyki narodziła się w rodzinnym domu, wypełnionym dźwiękami nagrań. Ojciec, zawodowy konferansjer anonsujący radiowe koncerty, po pracy namiętnie słuchał płyt, głównie z dziełami Beethovena. Jego Koncert skrzypcowy, obsesyjnie porównywany w różnych wykonaniach, zapisał się w pamięci muzycznego chłopca na zawsze. Nic dziwnego, że to właśnie od skrzypiec mały Łukasz rozpoczął swą przygodę z muzyką – Rodzice posłali go do szkoły muzycznej, bo uczy ona dyscypliny i daje możliwość wszechstronnego rozwoju – tłumaczy Borowicz. – Wiele osób nie wytrzymuje jednak wielogodzinnych ćwiczeń. Nie dają rady, bo na pewnym etapie uświadamiają sobie, że szkoła wymaga wyrzeczeń. Mnie to na szczęście wciągnęło, bo byłem zafascynowany skrzypcami.

Młody adept wioliny szybko jednak odkrył, że bardziej niż smyczek pociąga go batuta. Sięgnął po nią jeszcze w szkole muzycznej, od razu z dużym powodzeniem. Na klasowym koncercie zadyrygował Oktetem smyczkowym Mendelssohna i odtąd wiedział już, że chce zostać dyrygentem. Wybór studiów dyrygenckich był świadomą decyzją, która zaważyła miała na jego dalszych zawodowych losach.

Pierwszym mistrzem dyrygentury i pedagogiem, który ukształtował osobowość Łukasza był profesor Akademii Muzycznej w Warszawie, dyrygent Bogusław Madey. Ko-



FOT. MONIKA REDZISZ

lejnym Antoni Wit, ówczesny dyrektor Filharmonii Narodowej. Pod jego opieką powstał doktorat Borowicza, on też zaprosił zdolnego dyrygenta do asystowania w jego filharmonicznym zespole – Poznałem wtedy orkiestrę od podszewki. Co tydzień przygotowaliśmy nowy program, mogłem do woli śledzić próby i koncerty, studiować nowe programy, podpatrywać innych dyrygentów i różne style ich pracy. Miałem szansę oglądać od kuchni życie orkiestrowe, co bardzo przydało mi się w późniejszej działalności – wspomina Borowicz.

Kolejnym etapem była współpraca z Operą Narodową:

– Zostałem zaproszony przez dyrektora Kazimierza Korda w charakterze jego asystenta w warszawskim Teatrze Wielkim. Było to wielkie wyróżnienie. Miałem ogromne szczęście i taka szansa jest mi dana do dziś. Wciąż udaje mi się działać zarówno w operze jak i w filharmonii. Obecnie dyrygenci dzielą się na tzw. operowych i symfonicznych. To niesłuszne podejście i dość sztuczny podział. Najciekawszy artyści dyrygują zarówno operami jak i symfonią.

Sam Borowicz z powodzeniem łączy dziś występy na scenie i na estradzie. Tą pierwszą było radiowe Studio imienia Witolda Lutosławskiego i praca z Polską Orkiestrą Radiową (Orkiestrą Polskiego Radia), którą prowadził przez osiem sezo-

nów do 2015 roku – To były piękne lata – przyznaje dyrygent. Orkiestry radiowe mają swoistą specyfikę, trzeba umieć się w tym odnaleźć. Mnie zawsze fascynowała fonografia, sprzęt nagraniowy i kolekcjonowanie płyt. Fascynowałem się technikami zapisu dźwięku i pracą reżyserów. Wszystko więc prowadziło mnie w kierunku radia. Byłem bardzo szczęśliwy mogąc wreszcie realizować nagrania. A moja pasja zbieracza doprowadziła mnie do nieznanego repertuaru, który wreszcie miałem też możliwość nagrać.

Źródeł kolekcjonerskiej pasji Borowicza trzeba szukać w czasach transformacji ustrojowej: – To był koniec lat 80-tych – wspomina z sentymentem – piękne, pionierskie czasy... Upadł komunizm, na rynku pojawiły się tzw. walkmeny, mogłem więc na okrągło słuchać ulubionych koncertów jeżdżąc do szkoły autobusami. Te podróże mnie kształtowały i tak zrodziła się moja namiętność do zbierania ciekawych nagrań. Byłem uzależniony od osiedlowych handlarzy – piractwo kwitło, w tym czasie na straganach można było kupić dosłownie wszystko. Najlepsze nagrania Karajana były masowo przegrywane na taśmy. Znalazłem je niedawno przy okazji porządków w domu. Z rozrewnieniem wspominam, jak w popularnym centrum płytowym „Digital” przegrywałem „Requiem” Mozarta pod Karajanem.

Idole

Herbert von Karajan był pierwszym i najważniejszym idolem młodego Borowicza. Dużo później zainteresował się modnym dziś historycznym wykonawstwem. Wciąż jest wielbicielem nagrań niezującego Christophera Hogwooda, pioniera historycznego wykonawstwa, także związanego z Filharmonią Poznańską. Dziś sam próbuje realizować w Poznaniu ideały autentycznego brzmienia – Wszyscy wspominają tu współpracę z dyrygującym Hogwoodem. Do dziś skutkuje ona większą elastycznością orkiestry i stylistyczną swobodą. Miałem ogromną satysfakcję czytając kiedyś, że poznańska orkiestra grała jak na instrumentach z epoki – przyznaje z dumą dyrygent.

W codziennej pracy Borowicz słynie z łączenia repertuarowej tradycji z pasją muzycznego archeologa. Od lat odkrywa dla melomanów zapomniane karty twórczości, konsekwentnie promując w świecie muzykę polskich kompozytorów. Przywracał już historii nazwiska Romana Statkowskiego i Mieczysława Weinberga, upomniał się o urodzonego w Szamotułach Franza Xavera Scharwenkę, a ostatnio o Michała Bergsona, zapoznanego polskiego romantyka, ojca słynnego noblisty Henri Bergsona. Jego Koncert fortepianowy nagrał w czasie pandemii w Poznaniu z wybitnym brytyjskim pianistą, Jonathanem Ploghitem. To nie pierwszy raz, kiedy spotkali się na estradzie. Kilka lat temu dla prestiżowej wytwórni Hyperion zarejestrowali ze Szkocką Orkiestrą BBC koncerty Ludomira Różyckiego, Władysława Żeleńskiego i Aleksandra Zarzyckiego. Ostatnio dołączyli do tej kolekcji dzieła Ignacego Jana Paderewskiego i wciąż mało w Polsce znanego, Jerzego Gablenza – To nasz obowiązek, nikt za nas tego nie robi – deklaruje Borowicz.

– Jako pasjonat muzycznych podróży dobrze pamiętam swój pobyt w Pradze i wizytę w wielkim sklepie płytowym. Wyszedłem stamtąd z dwiema torbami płyt z operami czeskich kompozytorów. Marzyłem wtedy, aby w Polsce można było choć pół takiej reklamówki kupić z naszymi dziełami operowymi. Dziś sytuacja już się poprawiła, ale chciałbym, aby tych płyt było jak najwięcej. Pociągają mnie mało znane opery lub ich mniej popularne wersje. Na inaugurację pierwszego sezonu z Polską Orkiestrą Radiową w 2007 roku przedstawiłem „Falstaffa” Verdiego. To była deklaracja, że opera i wokalistyka są dla mnie bardzo ważne. Od tej pory wiele muzyki wokalne i zapomnianych dzieł operowych udało mi się zarejestrować na płytach.

Entuzjazm dla muzyki polskiej przyniósł Borowiczowi światowe uznanie. W 2013 roku recenzent renomowanego magazynu płytowego „Gramophone” pisał o koncertach Różyckiego: Borowicz kontroluje zdradliwe pułapki akompaniamentu i inspiruje muzyków BBC w ich niełatwym towarzyszeniu. Z pewnością jeszcze nieraz o tym artyście usłyszymy.

Intuicja krytyka okazała się nad podziw prorocza. Od tego czasu płyty polskiego dyrygenta wydaje już kilka prestiżowych, zagranicznych wytwórni. Kolekcja nagrań przez niego albumów liczy ponad sto tytułów i systematycznie się rozrasta, a ich repertuar przyprawić może o zawrót głowy. Od operetkowych przebojów Lehara po dzieła Lutosławskiego i Pendereckiego; od pieśni Powstania Wielkopolskiego po mało znane opery Bizeta; od religijnych utworów Brucknera po twórczość szwedzkiego symfonika Hugo Alfvena.

asza Borowicz

Najważniejsza wciąż pozostaje jednak muzyka polska. Jeszcze z Polską Orkiestrą Radiową nagrał utwory 20-wiecznych modernistów, Szymona Laksa i Karola Rathausa. Z radiowym zespołem utrwał też dzieła romantycznych symfoników – kolegi Chopina, Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego oraz odnowiciela życia muzycznego Warszawy, Zygmunta Noskowskiego.

Prestiżowe wyróżnienia

Ma w swojej bogatej dyskografii obszerne antologie dzieł Andrzeja Panufnika i Grażyny Bacewicz oraz kilka albumów z twórczością łódzianina, Aleksandra Tansmana. Jego płyta z oratorium *Quo Vadis* Feliksa Nowowiejskiego, nagrany z Orkiestrą Filharmonii Poznańskiej, doczekała się prestiżowego wyróżnienia International Classical Music Award. Uznanie przyniósł mu także album z symfoniami tego niedocenianego, nawet i u nas, kompozytora.

To nie jedyne wyróżnienia, które przyniosły Borowiczowi nagrania muzyki polskiej. Nie tak dawno entuzjazm brytyjskich krytyków renomowanego pisma „Gramophone” zdobyła płyta ze światową premierą fonograficzną dwóch mało znanych kantat Stanisława Moniuszki, *Milda* i *Nijola*. Twórczość ojca naszej opery narodowej regularnie zresztą gości w programach artysty. A wśród trzynastu nagranych przez niego płyt z zapomnianymi operami, będącymi pokłosiem Festiwalu Wielkanocnego Ludwiga van Beethovena, można znaleźć włoską wersję *Parii* Moniuszki utrwaloną z solistami, Poznańskim Chórem Kameralnym oraz orkiestrą poznańskiej filharmonii.

– Nasi filharmonicy to zespół ogromnie elastyczny – tłumaczy Borowicz. – Gramy sporo muzyki operowej i symfonicznej, ale też repertuar z przełomu XVIII i XIX wieku. Mamy ogromną radość z odkrywania nieznanego twórczości kilku naszych zapomnianych kompozytorów. W Polsce to może nazwiska znane, ale za granicą zupełnie nieobecne. Tak było z twórczością Nowowiejskiego, którego oratorium i symfonie nagraliśmy na płyty docenione potem przez krytyków.

Sam ceni artystów poszukujących utworów niepopularnych, jak Jonathan Plowright, z którym nagrał ostatnio *Koncert* Bergsona. – Łukasz ma ogromną radość z odkrywania nieznanego repertuaru, daje mu to wielką satysfakcję – mówi Wojciech Nentwig. Jest oczywiście szczęśliwy, kiedy może wykonać „IX Symfonię” Beethovena, ale najbardziej cieszy go pokazywanie utworów zapomnianych, jak choćby „*Quo Vadis*”. Dzieła życia Feliksa Nowowiejskiego, o którym dzięki Łukaszowi usłyszał muzyczny świat. Nagrania mało znanych symfonii Nowowiejskiego to także jego odkrycie i zasługa. Wkrótce będziemy zaś nagrywali muzykę Stefana Bolesława Poradowskiego. Zapoznane go, związanego z Poznaniem kompozytora, którego „III Symfonia” oraz koncerty skrzypcowy i kontrabasowy – znajdują się dzięki Łukaszowi na płycie.

Współpraca z wybitnymi artystami

Współpracę z Borowiczem cenią też zagraniczne orkiestry. Prowadził już w swej karierze te z najwyższej półki: London Philharmonic Orchestra czy Royal Philharmonic Orchestra, Bamberger Symphoniker, Deutsches Symphonie-Orchester (DSO), orkiestrę berlińskiego Konzerthausu czy Radiophilharmonie w Hanowerze. Dyrgo-

wał zespołami radiowymi Niemiec i Czech, Filharmonikami z Luxemburga i Orkiestrą Szwajcarii Romańskiej. A całkiem niedawno, 1 maja 2021 roku, zadyrygował w madryckim Teatro Real. Solistą był pierwszy tenor świata, rewelacyjny Piotr Beczała. Nasz artysta do programu włączył arie z polskich oper. Sukces był spektakularny, recenzenci podkreślali talent i zasługi tak wspaniałego solisty, jak i towarzyszącego mu dyrygenta.

Z naszym wybitnym śpiewakiem Borowicz zna się od 2007 roku, gdy spotkali się w Filharmonii Poznańskiej. Współpracowali potem w Warszawie, kiedy Łukasz prowadził Polską Orkiestrę Radiową. W ubiegłym roku wspólnie zostali nominowani do Nagrody Mediów Publicznych. Prestiżowe wyróżnienie otrzymał ostatecznie Beczała, ale werdykt z powodzeniem mógł być podzielony na pół. Polski tenor debiutował wszak na płytach z Polską Orkiestrą Radiową, w czasach kiedy na jej czele stał jeszcze Borowicz. Pod jego batutą Beczała zarejestrował zresztą kilka nagrań, zaśpiewał też wiele ważnych spektakli i koncertów.

Tym najważniejszym była niewątpliwie premiera *Halki* Stanisława Moniuszki na legendarnej scenie Theater an der Wien.

na deskach Opery Narodowej odbyła się dwa miesiące później, budząc żywy aplauz polskiej publiczności i zbierając entuzjastyczne recenzje zarówno występu Beczały, jak i Borowicza.

– Nie zapomnę ich pierwszego koncertu – wspomina dyrektor Nentwig. To było 14 kwietnia 2007 roku, pierwszy galowy występ Piotra Beczały w Polsce. Spotkali się w Filharmonii Poznańskiej i od pierwszych dźwięków była to fascynująca, artystyczna przygoda. Tak narodziła się ich zawodowa współpraca i serdeczna przyjaźń. Rozumieją się niemal bez słów, podobnie oddychają i myślą o muzyce. Od tej pory Łukasz dyrygował niezliczonymi koncertami Beczały, a on pewnie chciałby jak najczęściej z nim pracować. Mają nawet podobne zainteresowania, choć Piotr lubi samochody, szczególnie klasyki, a Łukasz zaś nie zdążył dotychczas zrobić nawet prawa jazdy.

Borowicz kocha śpiew, jest wielbicielem opery, a współpracę z nim cenią sobie najwięksi polscy śpiewacy. Poza Beczałą także wybitny baryton Mariusz Kwiecień, czy wielka Ewa Podleś, która pod jego batutą nagrała dwa recitale.

– Lubię pracować ze śpiewakami, to moja fascynacja – przyznaje Borowicz. Śpiew jest dla mnie ucieleśnieniem ideału muzyki. To wzór dla wszystkich zajmujących się in-

cować. Ostatnio zauważyłam, że ogromnie się rozwinął, jest po prostu rewelacyjny.

Zawsze jest świetnie przygotowany, wie dokładnie co w nutach i co między nimi. Zna cały kontekst powstania dzieła i detale biografii jego twórcy. To chodząca encyklopedia muzyki. Jest wspaniałym erudytą, co słysząc, kiedy prowadzi koncerty w Poznaniu. Potrafi do nich zachęcić każdego, daje też wyjątkowy komfort solistom. Czuje się, że on ich lubi i pragnie im pomóc. Jest też bardzo komunikatywny i ma czytelne ruchy, co nie jest regułą w przypadku dyrygentów. Wiem, że muzycy bardzo go cenią, bo ma w sobie wielką kulturę i szanuje każdego z nich. Historia zna przypadki dyrygentów, którzy potrafili być bardzo nieprzyjemni dla członków orkiestry. On nigdy tego nie robi. A ponadto ma w sobie ciągłą pasję i entuzjazm dla wykonywanej muzyki.

Tę opinię potwierdza Wojciech Nentwig, który spędza wiele czasu na rozmowach z Borowiczem: Poza tym, że jest świetnym fachowcem i znakomitym muzykiem, wyróżnia się również wybitną erudycją. Można z nim porozmawiać o filozofii, religii, historii, literaturze, malarstwie czy tajnikach fonografii. Prawdziwy człowiek-orkestra. Tę wszechstronność słysząc też w radiu, kiedy w Dwójce Łukasz prowadzi audycje z cyklu „Karnawał instrumentów”. Ludzie doceniają, że mogą obcować z kimś o takiej wiedzy i praktyce, kto mówi do nich w tak kompetentny i przystępny sposób.

Refleksje o dyrygenturze

Sam Borowicz przyznaje, że praca z orkiestrą wymaga od dyrygenta wiele wycucia:

– Podstawą tej relacji jest szacunek dla pracy muzyków. Ekonomia myślenia o czasie i jasne precyzowanie celów. Ważna jest atmosfera wspólnej muzycznej kreacji, a nie chęć pouczania orkiestry. Próba musi być efektywna, by można było osiągnąć cel. Są dyrygenci, którzy wiele mówią i tracą na to mnóstwo czasu. Co prawda mają efekty, ale zespoły są fizycznie zmęczone, a to nie prowadzi do sukcesu. Demokracja w orkiestrze to jednak pojęcie względne. Uważa się, że kiedyś dyrygenci byli tyranami, ale z drugiej strony niektórzy mieli fenomenalne efekty. Znałe są historie z prób Toscaniniego i jego emocjonalne krzyki. Ale jestem w stanie to zrozumieć, bo dla niego źle zagrana nuta była fizycznym bólem. Czysty pokaz zależności orkiestry od dyrygenta nie może jednak być nazwany dyrygenturą.

Dla Borowicza ważna jest łączność z dyrygentką tradycją. Dlatego kolekcjonuje partytury i batuty: – Mam parę starych egzemplarzy, zawsze marzyłem, by którąś zadyrygować. Można je odnaleźć w różnych dziwnych miejscach, na przykład na pchlich targach.

Dużo czyta, najchętniej biografie kompozytorów. Namiętnie słucha też płyt, którymi wypełnione jest dziś całe mieszkanie:

– Niejednokrotnie znajomi pytają mnie, czy słucham czasem jakiejś innej muzyki, może jazzu, a może rozrywki. Nie ukrywam, że dobry jazz jak najbardziej, zdarza się, ale rozrywka nie. Nie mam na to ochoty. Jest tyle wspaniałych nagrań muzyki klasycznej, nie wiem, czy starczy mi czasu, aby ich wszystkich posłuchać – wyznawał w jednym z wywiadów.

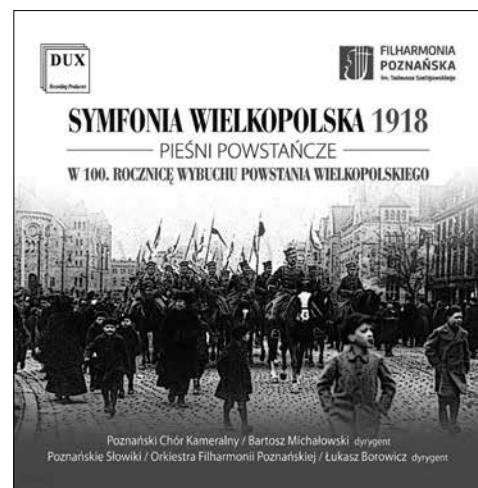
O planach artystycznych woli na razie nie mówić. Pandemia zburzyła ich zbyt wiele, choć była czasem wyzwaniem i nową aktywności – Mam nadzieję, że wrócę do Francji, gdzie debiutowałem jako pierwszy polski dyrygent na scenie Opery Paryskiej. Będę dyrygować w Strasburgu, wracam do Lille i Montpellier. Są także plany z dalszymi prezentacjami „Halki” w świecie. Nie mogę ich jeszcze zdradzać, ale to świetna perspektywa dla naszej narodowej opery. Będę też dyrygować orkiestrami symfonicznymi, chciałbym wrócić do kanonu klasyki i większych dzieł symfonicznych. Musimy jednak poczekać na koniec pandemii, bo z uwagi na ograniczenia nie możemy grać w dużych składach. Jedyne, czego mi dziś potrzeba to zdrowia do realizacji tych planów. Mam szczęście, że wykonuję zawód, który jest moją pasją. I chciałbym cieszyć się nim jak najdłużej.

Róża Świątczyńska
(Polskie Radio)

Śródtytuły pochodzą od wydawcy



Poznań, Aula Uniwersytetu Adama Mickiewicza



Poznański Chór Kameralny / Bartosz Michalowski dyrygent
Poznańskie Słowiki / Orkiestra Filharmonii Poznańskiej / Łukasz Borowicz dyrygent



terpretacją muzyczną. Nie ma piękniejszego holdu dla śpiewu niż kantylena w „Koncercie skrzypcowym” Beethovena. To niedościgniony wzór, ten liryzm i ta śpiewna fraza. Stąd moja wielka sympatia do pracy z wokalistami.

Wybitna śpiewaczka Katarzyna Hołysz, z Łukaszem Borowiczem występowała wielokrotnie. Zarówno w roli gwiazdy Gali Sylwestrowej poznańskich filharmoników, jak i solistki w arcytrudnej operze Paula Hindemitha *Sancta Susanna* na Festiwalu Wielkanocnym Ludwiga van Beethovena: Zawsze się cieszę ze współpracy z Łukaszem. Zetknęliśmy się 10 lat temu, podczas łódzkiej realizacji „Rusalki” Dworzaka. Zachwyciłam się nim od pierwszego spotkania. Coś w nim kipiało, jakaś charyzma, dzięki której chciało się pra-

Janusz JANYST

„Naukowo” o Maginie

Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina opublikował w roku 2019 książkę reprezentującą tę uczelnię (a wcześniej łódzką Akademię Muzyczną) prof. Krystyny Juszyńskiej pt. *Miłosz Magin – pianista, kompozytor, pedagog*. Jest to biograficzna monografia artysty urodzonego w 1929 roku w Łodzi a przez większość życia mieszkającego i działającego w Paryżu.

Jego przodkowie przybyli do Polski w drugiej połowie XIX wieku z Lotaryngii. Ojciec Miłosza był fryzjerem. Chłopiec od najmłodszych lat wykazywał nieprzeciętne zdolności muzyczne. W czasie wojny przebywał rok w Niemczech na przymusowych robotach – pracował w ślusarni. Po wojnie, ze względu na kłopoty finansowe, przerwał naukę w gimnazjum i zarabiał graniem na fortepianie w kawiarniach. W wieku 19 lat udał się z Łodzi do Warszawy (ponoć pieszo) „w poszukiwaniu szczęścia”. Rozpoczął pracę jako akompaniator w prywatnej szkole baletowej, w której jedną z uczennic była notabene jego przyszła żona, Idalia. W 1949 roku został przyjęty do Średniej Szkoły Muzycznej, do klasy fortepianu Margerity Trombini-Kazuro. Po dwóch latach przyjęto go do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej – od razu na III rok studiów pianistycznych (też do klasy Trombini-Kazuro) oraz na I rok kompozycji do klasy Jana Maklakiewicza. Po śmierci Maklakiewicza kontynuował studia kompozytorskie u Kazimierza Sikorskiego i ukończył je z wyróżnieniem w 1957 roku.

Został zakwalifikowany do polskiej ekipy na V Konkurs Chopinowski w roku 1955. Zdobył w tym konkursie wyróżnienie. W tym samym roku brał udział w konkursie Marguerite Long i Jacquesa Thibaud w Paryżu (otrzymał nagrodę specjalną). Później przystąpił znów do paryskiego konkursu i zdobył VI nagrodę. Zajął też w międzyczasie III miejsce w Konkursie Pianistycznym im. José Vianna da Motta w Lizbonie. Stopniowo zaczęła rozwijać się jego międzynarodowa kariera pianistyczna. W roku 1957 udało mu się wraz z żoną i córką Ludmiłą wyjechać do Paryża. Rodzina dwa lata spędziła w Portugalii, korzystając ze wsparcia markizy de Cadaval, po czym powróciła do Paryża. Warunki bytowe były trudne. Pod koniec 1963 roku Magin został ranny w wypadku samochodowym, miał poważne obrażenia lewej dłoni i nadgarstka, czekała go długa rekonwalescencja. Zajął się pracą pedagogiczną, skoncentrował się zarazem na komponowaniu. Z inicjatywy Idalii powstał wówczas polski zespół folklorystyczny Krakus, a wkrótce potem specjalizujący się w rosyjskiej muzyce ludowej zespół Matroschka. Magin opracowywał repertuar.

Po rekonwalescencji rozpoczął wspólną pracę z firmami fonograficznymi (nagrał w sumie większość utworów Chopina na fortepian solo i *Koncert e-moll*, 11 własnych kompozycji, *Koncert C-dur KV 415* Mozarta). W latach 70. utworzył orkiestrę kameralną, którą dyrygował, a jako solista koncertował m.in. w Polsce. W 1983 roku Maginowie założyli wydawnictwo nutowe, dwa lata później Magin zainicjował w Paryżu międzynarodowy konkurs pianistyczny swego imienia adresowany do młodzieży muzycznej. W ostatniej dekadzie stulecia artysta był jurorem Mię-

dzynarodowego Konkursu im. Karola Szymanowskiego w Łodzi, prowadził także kursy mistrzowskie w łódzkiej Akademii Muzycznej. Zmarł w 1999 roku na Tahiti (podczas kąpieli w oceanie serce odmówiło posłuszeństwa).

Anonsowana tu książka traktowana jest przez wydawcę jako naukowa, lecz ze względu na mnogość sądów wartościujących ma ona wiele cech publicystycznych (poza walorami językowymi, których niełatwo się doszukać). Wypełnia zapewne pewną lukę w polskim piśmiennictwie. Za czasów PRL, szczególnie w latach 60. i 70., nie należało o tym emigracyjnym twórcy pisać, przyzwolenie miały co najwyżej wydawnictwa fachowe, a i później jego działalność nie stała się szeroko znana. Juszyńska korzystała wszelako m.in. z siedmiu napisanych w Polsce, począwszy od roku 1988, prac naukowych poświęconych Maginowi (dyplomowych, magisterskich i doktorskich). Ponadto – jak informuje we wstępie – trzykrotnie, dyskontując przyznane jej granty, wyjeżdżała do stolicy Francji na rozmowy z żoną Magina i jedną z dwóch córek, Margot, od których uzyskała wiele szczegółowych danych biograficznych, także dużo nut i płyt z nagraniami.

Wydawnictwo stanowi w założeniu, a zarazem w realizacji, całościowe potraktowanie tematu, uwzględnia bowiem drogę życiową „łódzianina znad Sekwany”, jego dokonania pianistyczne, kompozytorskie, pedagogiczne i animatorskie. Tych właśnie kwestii dotyczą główne rozdziały, które pod względem treści nie są zresztą rozłączne – by użyć określenia stanowiącego zasadę poprawnościową tzw. podziału logicznego. Rozdziały te zostały uzupełnione wspomnieniami współpracowników i znajomych, cytatami z recenzji, również stanowiącymi ¼ całego tekstu aneksami (wykaz kompozycji Magina, repertuar koncertów, nagrania, listy jurorów, uczestników i laureatów konkursów Maginowskich itd.). Materiał jest zatem obszerny, ale nie „bez skazy”.

W poszczególnych rozdziałach kilkakrotnie pojawiają się niedługie akapity mające historycznie podbudować poszczególne wątki, z tym, że nie wszystko da się w nich przyjąć bez zastrzeżeń. I to poczynając już od takiego oto przesłania politycznego, jakby rodem z propagandy PRL-owskiej: *Warszawa została wyzwolona (...) warszawiacy cieszyli się odzyskaną wolnością*. No a cofając się w czasie – czy w XIX stuleciu Łódź rozwijała się także za sprawą rosyjskich fabrykantów? Fabrykantów były tu dziesiątki, ale rosyjski bodaj tylko jeden. Juszyńska w innym miejscu wymienia reprezentantów polskiej szkoły pianistycznej. Nie zapomina o Arturze Rubinście, twierdząc, że był uczniem Paderewskiego. Czyżby? Złożył Paderewskiemu w Szwajcarii dwie kurtuazyjne wizyty i miał krytyczny stosunek do jego interpretacji (wystarczy zapoznać się z pamiętnikami Rubinsteina). Natomiast przedstawiciele

polskiej szkoły kompozytorskiej nie zostali już wymienieni, choć ich wymienienie w tej sytuacji narzucałoby się samo przez się, mało tego, w kontekście wpływów na polską szkołę w XX wieku szkoły francuskiej, byłoby uzasadnione. A tak w ogóle, czy nie należało raczej skupić się na polskich pianistach-kompozytorach, w tym, jak Magin, mających łódzkie korzenie lub będących łódzianami z wyboru (a to przecież nie tylko wielki Aleksander Tansman, lecz i Zbigniew Szymonowicz, Zygmunt Krauze, Peter Koprowski, Adam Maniżak). A propos, gdy wyszczególnieni zostają laureaci V Konkursu Chopinowskiego, to po prostu wypadało choć jedno zdanie poświęcić Andrzejowi Czajkowskiemu, ceniłemu potem, podobnie jak Magin, pianiście-kompozytorze emigracyjnemu. Czyżby to nazwisko nie autorce nie mówiło?

W niedługim fragmencie tekstu dotyczącym dzieła muzycznego (jako takiego) Juszyńska powołuje się na Romana Ingardena. Czy czytała jego rozprawę o utworze muzycznym? Śmiem wątpić, bo pomija kluczową część Ingardenowskiej definicji dzieła (akcentującej w specyficznym sposobie istnienia dzieła wielość możliwości), a gdy wspomina o zmianie stylu Chopinowskich interpretacji, nie nawiązuje do Ingardenowskiej koncepcji tożsamości utworu w czasie historycznym, co w tym wypadku należałoby uznać za nieodzowne.

Nie można zgodzić się z tezą, że dopiero Magin zademonstrował Paryżowi interpretacje Chopina odbiegające od stylu salonowego i sentymentalnego. Czyż nie zrobił tego wcześniej Rubinstein? W książce są wymienione niektóre z ważnych Chopinowskich nagrań różnych mistrzów klawiatury, na pewno przydałoby się przy okazji analityczne porównanie dyskografii Magina z nagraniami działającego wcześniej w Paryżu Rubinsteina, uważanymi przecież powszechnie za kanoniczne.

Gdy autorka przechodzi do omówienia nagrań Maginowskich, uznaje za stosowne dodać informacje z historii fonografii. Wskazuje na zasługi Thomasa Alvy Edisona, pomija wszelako Charlesa Crosa, który ściśle w tym samym czasie, co Amerykanin, doszedł we Francji do analogicznych rezultatów. I znów, przyjmując logikę autorki, czytelnik mógłby za chwilę oczekiwać... historii budownictwa fortepianowego i dziejów akordeonu – bo na tym instrumencie grał przecież Magin w Krakusie i Matroschce. Ale tu akurat chyba dobrze, że konsekwencji nie ma.

Książka *Miłosz Magin – pianista, kompozytor, pedagog* przynosi sporo wiadomości biograficznych. Z tym, że są w życiorysie lata nieopisane. Skądinąd, gdy autorka wspomina, że były perypetie osobiste, nie wiadomo, o co chodzi. A co działo się ze starszą córką Ludmiłą? Nie wiemy. Czytelnik poznaje cechy charakterologiczne artysty, jednakże prawie nie orientuje się w jego światopoglądzie. Nie jest moim zamierzeniem ujmowanie czegokolwiek bohaterowi opowieści, czy jednak czytelnik



ma podstawy, żeby w monografii sprawiającej po trosze wrażenie panegiryku odbierać bez jakichkolwiek wątpliwości wszystkie superlatywy? (W komponowaniu *dobierał fenomenalne współbrzmienia (...)* Szokował wirtuozeryą gry – i tym podobne). W 1967 roku Decca zaproponowała Maginowi nagranie nokturnów Chopina. Rejestracja została dokonana, ale interpretacje nie zyskały aprobaty firmy i płyty nie wydano. Pianiście również jego własna gra się nie spodobała, uznał, że nie odzyskał jeszcze wystarczającej formy po operacji ręki. Ale Juszyńska stwierdza autorytatywnie (s.56), że wykonania były piękne. Na jakiej podstawie? Interpretacji nie słyszała. I co to ma wspólnego z naukowością? Tu sama obniża wiarygodność innych swych opinii.

Autorka bez zahamowań używa wielkich kwantyfikatorów. Wielokrotnie powtarza, że Magin wykonywał i nagrał wszystkie dzieła Chopina. Później dopiero okazuje się, że chodziło o utwory na fortepian solo (z dodaniem *Koncertu e-moll*), jeszcze później, że w nagraniach uwzględnił tylko dzieła opusowane przez samego kompozytora, a w końcu wychodzi na jaw, że też nie wszystkie opusowane wziął pod uwagę (pomiął cykle wariacyjne op. 2., op. 12., op. 29 A, *Tarantellę As-dur* op. 43). Autorka sugeruje (s. 97), że Magin z *każdego wykonywanego utworu czynił arcydzieło*. To tak, jakby kompozycje Chopina bez „wkładu” Magina arcydziełami nie były. Z kolei, czy wykonując własne utwory automatycznie je na arcydzieła kreował?

Czytamy, że jego gra służyła *wyrażaniu wszystkich odcieni emocji ludzkich*. A z kolei skomponowana przez Magina muzyka *wyraża wszystkie rodzaje emocji*. Wszystkie? Więc także np. zazdrość, nienawiść, litość, obrzydzenie, wstręt? No i jeszcze kuriozum! Dla Juszyńskiej jednym z rodzajów emocji, obok radości i smutku jest... ekspresja! (s. 123). Nie interesuje też najwyraźniej autorki ważny w sumie problem istoty emocji obecnych w muzyce, rozważany z liczącymi się w estetyce konsekwencjami już przez Arthura Schopenhauera.

Do najlepszych części książki należy omówienie – reprezentującej styl *post-romantyczny z rysami indywidualnymi* i wykorzystującej nierzadko inspiracje polskim folklorem – Maginowskiej twórczości, obejmującej pół setki kompozycji, m.in. dwie symfonie, koncerty na różne instrumenty (w tym cztery fortepiano-we), *Stabat Mater*, balet *Bazyliszek*, liczne utwory fortepianowe, włącznie z miniaturami dla dzieci. Tu, niewątpliwie, przydała się bibliografia. Utwory, na temat których były materiały, choćby książeczki programowe koncertów, omówione są obszerne. Inne (*II Symfonia*, *Rapsodia polska*, *Kwartet smyczkowy*) zostały pominięte. Tak czy inaczej ta część wydawnictwa ma dla wszystkich zainteresowanych niemały walor praktyczny. Ogólnie jednak, w lekturze książki Juszyńskiej często coś trochę przeszkadza. Od początku wręcz irytuje powtarzanie, poprzez rozdziały i podrozdziały, niektórych informacji (choćby o konkursowych nagrodach bohatera książki), również kilkakrotne przeczenie autorki samej sobie (*Pierwsze utwory Magin skomponował w 1948 roku*. Ale na poprzedniej stronie było, że *pierwsze jego utwory powstały w 1946 roku*). Są ewidentne „wpadki” stylistyczno-logiczne (*tylko Cezary Rychter był jedynym wykształconym muzykiem w rodzinie*), niekiedy błędy rzeczowe (np. uznanie za dźwięki obce w akordzie septymy i nony, utożsamienie dodekafonii z serializmem, nazwanie *Lá ci darem la mano* z *Don Giovanniego* arią, zamiast duetem).

Przyznać należy, że książka jest wydana solidnie pod względem edytorskim (nie biorąc pod uwagę braku indeksu nazwisk),

ma dobrze zaprojektowaną, twardą okładkę, zawiera wiele ilustracji. Kiepska okazała się tylko jakość techniczna reprodukcji Chopinowskiego rękopisu *Mazurka f-moll* (przez Magina zrekonstruowanego). Czy w ogóle wypadało pokazywać najeżony skreśleniami i poprawkami rękopis Chopina w zestawieniu z „nieskazitelnyymi”, bo już nie „roboczymi”, zapisami utworów Magina? Wśród zdjęć jedno naprawdę robi silne wrażenie. To ujęcie artysty na kwa-

drans przed śmiercią – sfotografowała go żona. Aż chciałoby się, żeby skomentował to zdjęcie Janusz Anderman, autor interesującego zbioru szkiców pt. *Fotografie!* Bo to, co napisała w tym momencie prof. zw. dr hab. Krystyna Juszyńska z Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, oddzia-
łać nie może.

Publikację poparły recenzjami wydawniczymi prof. zw. dr hab. Irena Poniatowska oraz prof. zw. dr hab. Anna Wesołowska-

-Firlej. Ciekawe, czy obie panie uważnie tekst przeczytały...

Omawiana pozycja, dokumentująca działalność kolejnego wybitnego, urodzonego w Łodzi muzyka z grupy tych, których kariera rozwijała się za granicą i miała międzynarodowy zasięg, na pewno – pomimo zastrzeżeń – jest pożyteczna, warta uwagi, a dla artystów, pedagogów, studentów i melomanów związanych grodem nad Łódką powinna nawet stanowić lektu-

rę obowiązkową, tak samo jak pamiętniki Rubinsteina, książka Cegiełły o Tansmanie, Gąsiorowskiej o Bacewiczównie (tudzież wspomnienia kompozytorki), także Manijaka o Kleckim.

Janusz Janyst

Krystyna Juszyńska: *Miłosz Magin – pianista, kompozytor, pedagog*. Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina, Warszawa 2019, s. 375

Tworzę spontanicznie

Z Miłoszem Maginem rozmawia Janusz Janyst (grudzień, 1992)

– **Już z górą 35 lat mieszka Pan poza Polską. Jak znajduje Pan dziś swe rodzinne miasto?**

– Łódź bardzo się zmieniła. Jest nowocześniejsza, bardziej kolorowa. Znikły wysokie kominy, a z jezdni sławetne „kocie łby”. Nie ma domu, w którym się urodziłem (Sienkiewicza 95), ani tego, w którym ciotka miała sklep z kapeluszami (róg Sienkiewicza i Narutowicza). Ze wzruszeniem oglądałem natomiast mieszkanie przy ulicy Kilińskiego 92. Tam uczyłem się grać na swym pierwszym pianinie. Jak powiedziałem – inaczej niż kiedyś wyglądają ulice, a jednak miasto pozostało mi bliskie.

– **Czy ma Pan tu rodzinę?**
– Tylko kuzynów.

– **Co było powodem wyjazdu z Polski? Czyżby na decyzję o emigracji wpłynęły motywy polityczne, podobnie jak na przykład u Andrzeja Panufnika, który zresztą opuścił kraj w o tyle innej sytuacji, że jeszcze przed 1956 rokiem?**

– Nie, u mnie chodziło o sprawy zawodowe, koncerty, konkursy, propozycje wykładów.

– **Paryż to ośrodek, do którego wielu polskich kompozytorów jeździło na studia, a w latach międzywojennych związało się tam Stowarzyszenie Młodych Muzyków Polaków, do którego należeli m.in. Bacewiczówna, Lutosławski, Mycielski, Spisak, Perkowski, Serocki. Co**

Panu, jako twórcy, dał wieloletni pobyt nad Sekwaną?

– Atmosfera Miejsca ukształtowała mnie, w określony sposób, psychicznie. Pojawiła się, mianowicie, tendencja do kondensacji myśli, dążenie do zwartości, odrzucenia wszystkiego, co niepotrzebne. Takie cechy, ważne dla formy wypowiedzi artystycznej, odnaleźć można u rozmaitych twórców działających w Paryżu – zarówno muzyków, malarzy, jak i poetów.

– **W Pana muzyce wyraźne są polskie pierwiastki narodowe, że wymienię choćby oba koncerty skrzypcowe, Koncert klarnetowy czy II - fortepianowy. Skąd czerpie Pan inspirację?**

– Ich źródłem jest mój świat wewnętrzny – myśli, wciąż żywe wspomnienia. Rozumiem Chopina – gdyby nie mieszkał tak długo w Paryżu, być może nie napisałby aż tylu mazurków. Chopinowska muzyka też ma na mnie wpływ, ale pośredni, jako wzór stylizacji ludowości. Bo, naturalnie, język dźwiękowy stosuję zupełnie inny.

– **Jak by Pan ów język najogólniej scharakteryzował? Przypuszczam, że nie wchodzi tu w rachubę jakieś spekulatywne założenia.**

– Nie, tworzę spontanicznie, najpierw po prostu muzykę „słyszę w sobie”. I mimo to, co powiedziałem wcześniej o tendencji do kondensacji, nie poddaję tworzywa daleko idącej „obróbce” intelektualnej.

Swojego języka nie podporządkowałem żadnemu systemowi, co pozwala mi czuć większą swobodę w stosowaniu środków. Na przykład atonalnie komponuję tylko wtedy, gdy mam na to ochotę.

– **Czy nadal regularnie występuje Pan jako pianista?**

– Ostatnio trochę rzadziej. Aczkolwiek w zeszłym roku miałem między innymi koncerty w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Poza Chopinem zawsze chętnie wykonuję dzieła Szymanowskiego i Paderewskiego. Byłem, zdaje się, pierwszym pianistą prezentującym w Afryce i Ameryce Południowej kompozycje Zarębskiego.

– **W trakcie niedawnego, łódzkiego koncertu w filharmonii poświęconego Pana twórczości interpretował Pan błyskotliwie własny, III Koncert fortepianowy. Występ rejestrowała firma fonograficzna. Czy myśli Pan o następnym nagraniu z łódzkimi filharmonikami?**

– Chciałbym tu nagrać swój *II Koncert fortepianowy* a także *I i II Symfonię*.

– **A co jest teraz na kompozytorskim warsztacie?**

– Instrumentuję między innymi *II Symfonię* na smyczki oraz balet *Bazyliśzek*.

– **Działa Pan jako pedagog, juror, w 1985 roku zainicjował Pan w Paryżu konkurs pianistyczny poświęcony muzyce polskiej. Jaka jest kondycja tej, odbywającej się co dwa lata, imprezy?**

– Bardzo dobra, gdyż jest ona organizowana pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki a subwencjonuje ją państwo. Cieszy się zainteresowaniem pianistów różnych narodowości. Tak się złożyło, że laureatami pierwszych nagród nie zostali, jak dotąd, Polacy. Ale może nastąpi to w przyszłym roku, podczas piątej edycji konkursu? Wydaje się ważne, że wszyscy dotychczasowi uczestnicy wykonują spe-

cialnie przygotowany na konkurs polski repertuar w swych krajach. Utwory te są nagrywane dla radia i telewizji, impreza spełnia zatem istotną rolę propagandową, promocyjną.

– **Polska muzyka i taniec upowszechniane były za granicą jeszcze niedawno przez polski zespół folklorystyczny założony przez Pana i Pańską małżonkę. Czy zespół wciąż działa?**

– Tak, z tym że obecnie opiekę nad tą grupą, która nazywa się Krakus i jest jakby małym Mazowszem czy Śląskiem, objęła moja córka, tancerka. Zespół skupia głównie Polonię, lecz występuje nie tylko dla Polonii.

– **Tym razem przyjechał Pan do Łodzi jako juror III Międzynarodowego Konkursu im. Karola Szymanowskiego. Jak ocenia Pan poziom biorących udział w tym współzawodnictwie pianistów?**

– Jest dobry, choć nie dostrzegłem wybitnej indywidualności. Podobali mi się m.in. Magdalena Lisak z Katowic i Tomasz Dębowski z łódzkiej Akademii Muzycznej.

– **Czy w Paryżu nie tęskni Pan czasem za swym rodzinnym miastem? Julian Tuwim w wierszu o Łodzi napisał niegdyś, że jej „uroda zła” piękniejsza jest dla niego niż paryskie bulwary.**

– Trochę tęsknię, czuję się przecież Polakiem i łodzianinem. Podobne uczucia, co ja, miewali w Paryżu zaprzyjaźnieni ze mną, nieżyjący już kompozytorzy polscy: Aleksander Tansman, Antoni Szalowski i Michał Spisak.

(Powyższa rozmowa jest jedyną, jaka przeprowadzona została z artystą w jego rodzinnym mieście. Wywiad ukazał się w „Gazecie Łódzkiej” a następnie włączony został do wydanej w 1994 roku książki Janusza Janysta *Kompozytorzy łódzcy – portret zbiorowy*) ■

Ewa Curie, *Maria Curie*

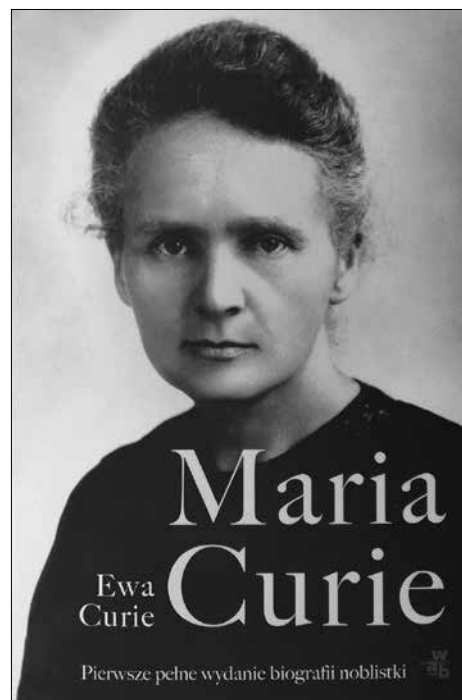
Książka wydana wiosną 2021 roku, reklamowana na okładce jako „pierwsze pełne wydanie biografii noblistki”. Jest to wznowienie uzupełnionej i poprawionej biografii Marii Skłodowskiej-Curie, autorstwa jej młodszej córki Ewy (1904-2007), pisarki, dziennikarki i pianistki. Starsza córka Irena Joliot-Curie żyła w latach 1897-1956, jak słynna matka była fizykochemikiem i otrzymała z mężem Nagrodę Nobla. Ewa Curie (zameężna od 1954 roku za Henrym R. Labouissem, też noblistą) napisała i wydała biografię matki w 1937 roku zatytułowaną *Madame Curie*; książkę przetłumaczono na wiele języków świata w tym w 1938 roku na jęz. polski. Na jej podstawie w 1943 roku nakręcono w Hollywood znakomity film pt. *Madame Curie*, który otrzymał kilka nominacji do Oscara.

Książka obecnie wydana wzbogacona została o wiele cytatów z licznej korespondencji jaką prowadziła nasza podwójna noblistka, ale przede wszystkim uzupełniona o pominięte w pierwszym wydaniu polskim znaczne fragmenty i powielanie tego błędu przez kolejnych dwadzieścia wznowień. Jest to o tyle cenne, bo Ewa

Curie pisała biografię matki po francusku ale i w oparciu o wiele oryginalnych i po polsku pisanych tekstów będących w posiadaniu matki – zostały one przetłumaczone a niektóre zaginęły w czasie wojny.

Jest to książka bardzo osobista, ale pisana też z eleganckiego dystansu. Autorka jak niewidzialny towarzysz kroczy obok pani Marii (pani Matki) przez życie tej niezwykłej i wybitnej kobiety, opisuje i komentuje je od dzieciństwa w Warszawie do śmierci we francuskim sanatorium. Dowiadujemy się, że bohaterka była osobą związaną bardzo silnymi więzami z rodzicami i rodzeństwem, wszyscy bardzo się wspierali i szanowali, pomagali sobie przez całe życie. Wreszcie – co autorka też uwypukla – pani Profesor (Maria Skłodowska-Curie była pierwszą kobietą profesorem na paryskiej Sorbonie) była wielką polską patriotką; przez całe życie kochała Polskę, Warszawę i Wisłę. Dziwi zatem nas Polaków odwracanie w Polsce pisowni Jej nazwiska, zachowała przecież swoje polskie rodowe: Skłodowska. Wystarczy, że Francuzi, Niemcy, Rosjanie czy Amerykanie pomijają jej polskość, a nazwisko skracają i piszą tylko: Curie.

Książka w pierwszym przekładzie Hanny Szyllerowej, nowe wydanie uzupełnione zostało przez Agnieszkę Rasińską-Bóbr; wstęp, na końcu wykaz 133 tytułów honorowych, odznaczeń i doktoratów h.c. Wydawnictwo W.A.B., ilustracje, format A5, oprawa miękka, ss. 504, cena 54,99 zł. (Red.) ■



Rok Norwida

Rok 2021 Sejm RP ustanowił rokiem Cypriana Kamila Norwida (1883-1921), z okazji 200. rocznicy urodzin poety. Jest to także Rok: Stefana kard. Wyszyńskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Stanisława Lema, Tadeusza Różewicza i Konstytucji 3 Maja.

Oto i fragment poematu Norwida *Promethidion. Rzecz w dwóch dialogach z epilogiem*. Tytuł nawiązuje do Prometeusza, dedykujemy go (cały!) Pani Marii Skłodowskiej-Curie, nazwanej przez Francuzów siostrą Prometeusza.

(...) *Spytam się tedy wiecznego-człowieka,
Spytam się dziejów o spowiedź piękności;
Wiecznego czteka, bo ten nie zazdrości,
Wiecznego czteka, bo bez żądzy czeka,
Spytam się tego bez namiejętności –
Cóż wiesz o pięknem?.....
..... „Kształtem jest Miłości”(...)*

(...) *Kształtem miłości piękno jest – i tyle,
Ile ją człowiek oglądał na świecie,
W ogromnym Bogu albo w sobie-pyle,
Na tego Boga wystrojonym dziecie;
Tyle o pięknem człowiek wie i głosi –
Choć każdy w sobie cień pięknego nosi
I każdy – każdy z nas – tym piękna pyłem.*

(...) *Bo piękno na to jest, by zachwycalo
Do pracy – praca, by sie zmartwychwstało.*

Krystian Zimerman i Sir Simon Rattle

Na 250. rocznicę urodzin Beethovena

Pod koniec ub. roku, w połowie grudnia, w dniach przypadających wtedy 250. urodzin Ludwiga van Beethovena, zdarzył się swego rodzaju cud – podczas trzech wieczorów, najwybitniejszy nasz współczesny artysta, Krystian Zimerman i jeden z największych dziś gigantów sztuki dyrygenckiej – Sir Simon Rattle, zaprezentowali w najnowszych ich wspólnym nagraniu, wraz ze znakomitymi muzykami Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej, komplet pięciu Koncertów Beethovena! Nagraniu, które niewątpliwie stało się ukoronowaniem światowych obchodów tej najważniejszej ubiegłorocznej rocznicy. Koncerty te były transmitowane z kościoła St. Luke's w Londynie, siedziby LSO, za pośrednictwem internetowej estrady DG. Na półkach salonów płytowych całego świata, ten sensacyjnie zapowiadający się album w postaci trzech płyt kompaktowych oraz pięciu long-playów – ma ukazać się wczesną jesienią.

Ten od dawna planowany i zainicjowany przez Zimermana projekt, został zrealizowany na przekór wszelkim przeciwnościom losu, w obliczu pełnych wyzwań okoliczności związanych z szalejącą pandemią koronawirusa. Tylko jeden, I Koncert C-dur op. 15, niejako na zachętę, pojawił się nazajutrz po premierze 17 XII 2020 w najlepszych serwisach streamingowych.

Zimerman i Rattle, uważani za wybitne muzyczne autorytety, nagrali wspólnie wcześniej już trzy albumy dla Deutsche Grammophon: I Koncert d-moll Brahmsa, Koncert Lutosławskiego oraz II Symfonię *The Age of Anxiety* Bernsteina. Ich wyjątkowe relacje opierają się na wyznawaniu wspólnych wartości i wzajemnym szacunku. Magazyn „Gramophone” pisze o „nadzwyczajnej więzi”, wyrażając uznanie dla ich „porywającego poczucia artystycznej misji”. Jak powiedział Sir Simon Rattle: *Kiedy zaczęliśmy razem pracować, mieliśmy poczucie pełnej, naturalnej komunikacji. Zerkam na niego, ale tak naprawdę nie muszę: czujemy nawzajem, kiedy każdy z nas weźmie kolejny oddech. Jak między braćmi. Działa to organicznie.*

To jednocześnie drugie nagranie koncertów Beethovena dokonane przez Zimermana, po pierwszym z 1989 r. zarejestrowanym w Wiedniu, z tamtejszymi filharmonikami, pod batutą maestro Leonarda Bernsteina.

Zdążyli nagrać trzy ostatnie, a wobec śmierci dyrygenta, pozostałe dwa, pianista poprowadził sam, od klawiatury, w 1991 r.

Jak wyznał nasz pianista: *Bernstein dał mi wtedy pewność siebie, abym odważnie prezentował swoje interpretacje, wprowadzając muzyczne idee, które były całkowicie nowatorskie. Niemal takie samo podejście odnalazłem również u Simona Rattle'a.*

W materiałach prasowych Deutsche Grammophon czytamy: 250. rocznica ur. Beethovena dała pianiście doskonały powód do powrotu do dzieł, do których jest głęboko przywiązany. *Nie grałem ich od kilku lat i tęskniłem za nimi, wyznał artysta. Niektóre dzieła można grać przez całe życie i wciąż czuć ich głód, i do nich należą te koncerty (...). Gdy byłem małym chłopcem, miałem małą figurkę Beethovena na moim fortepianie i pamiętam moje podświadome przeświadczenie, że to sędziwy twórca i stary człowiek. Dziś mam siedem lat więcej niż Beethoven miał kiedykolwiek i mam wiele ciepłych uczuć do niego, jako mojego młodszego kolegi. Kiedyś grałem I Koncert jako bardzo poważny utwór, ale dziś już tak o nim nie myślę. Nagle mogę się bawić grając go łżej, z większą radością.*

Krystian Zimerman nagrał w grudniu te koncerty na specjalnie przygotowanym fortepianie wzorowanym na instrumentach z czasów Beethovena. Po „zbadaniu” fortepianów Beethovena, pianista, który ma głęboką, praktyczną wiedzę na temat ich mechaniki, opracował różne ustawienia klawiatury, dopasowane do poszczególnych koncertów. Będąc przekonany, że IV Koncert można było napisać tylko na instrument Waltera, stworzył klawiaturę o odpowiednich właściwościach. *Jedną z rzeczy, które uwielbiam w Krystianie, jest jego niekończąca się ciekawość, zauważył Rattle. Tu chce mieć barwę wczesnego fortepianu, ale moc i możliwości nowoczesnego instrumentu, dającego mu to, co najlepsze z obu światów. Jego klawiatura stworzona do IV Koncertu sprawiła, że fortepian zabrzmiał zupełnie inaczej, bardziej lirycznie, a zarazem bardziej krystalicznie. Usłyszymy to niebawem...*

Interpretacje wszystkich koncertów są najgłębiej przemyślane. Doświadczenia solisty i dyrygenta zdają się tu być kluczowymi – nie realizuje się tak skomplikowanego pomysłu, aby tylko taki cykl powstał. Solista

wyciąga wnioski z doświadczeń sprzed 30 lat, dyrygent ze swoich, równie bogatych (nagrywał te dzieła m.in. z Alfredem Brendlem). Niewątpliwie mózgiem, ale i sercem tego przedsięwzięcia był Krystian Zimerman, który – jak to słyszymy w każdym momencie – realizuje to, co zamierzył, co zapewne proponował dyrygentowi podczas rozmów i prób. Oczywiście, potem jest żywioł żywego grania i pewnie nie wszystko, co się wcześniej zaplanowało można zrealizować w stu procentach, ale to najlepiej wie sam pianista. Sporą przeszkodą w realizacji niuansów muzycznych, mówił mi o tym sam pianista, mogła być np. trudność tzw. komunikacyjna, kiedy kontakt solisty i dyrygenta z usadowionymi na całej sali muzykami był odczuwalnie ograniczony. Przecież czym dalej siedzi klawicista, oboista, czy fagocista, tym trudniejsze są ich żywe, bezpośrednie dialogi z pianistą, jakich u Beethovena nie brakuje. A wszystko to wynikało oczywiście z pandemicznych obostrzeń. Trzeba było zachować odpowiedni dystans, orkiestra została rozmieszczona w poprzek Jerwood Hall kościoła LSO St. Luke's. Korzystając z ekranów ochronnych, muzycy grający na instrumentach smyczkowych znajdowali się w odległości półtora metra od siebie, a grający na instrumentach dętych drewnianych i blaszanych – dwóch metrów. *Czasami odnosiło się wrażenie, jakby się wysyłało sygnały dymne ponad górami, komentował Simon Rattle. A zarazem było w tym wysiłku coś, co niemal pasuje do Beethovena. Trud to przecież część jego stylu.*

Tym bardziej docenić trzeba to, co robili wszyscy wykonawcy, jak ładnie zgrali się razem, jak byli nieprawdopodobnie skupieni i skoncentrowani, Brzmienia smyczków, nb. prowadzonych przez zwycięzcę Konkursu Wiedeńskiego Romana Simovica, niebiańsko stapiały się z fortepianem, często były wręcz zachwycające, a doskonale słychać to było zwłaszcza w wolnych częściach koncertów. Nadto, wspaniali byli soliści orkiestry. Już same wejścia klawicisty Chrisa Richardsa, jego pięknie grane solówki, rodziły wielkie, wręcz wzruszające przeżycia – tak było np. w 3 części Koncertu c-moll. Podobnie zjawiskowe były interwencje oboistki w tym samym ogniwie, którymi Juliana Koch, wręcz zachwycała. Imponowała nam swoją niezwykłą kreatyw-

nością, często jakby wychodząc na przeciw wspomnianym wcześniej trudnościom przestrzennym. Jednak najwyżej oceniam współpracę Zimermana w skali makro, jego intuicyjne dostosowywanie się masywnością gry do bogactwa brzmieniowego orkiestry – III Koncert był tego chyba najlepszym dowodem, ale tak było i w cudownych, bogatych kontrastach solo-tutti choćby w IV Koncercie G-dur. To pianista był głównym motorem muzycznego działania się, to on wskazywał muzykom estetyczny kierunek, sugerował barwy, agogiczne zróżnicowanie czy skalę wielkich kulminacji. Jest przecież wielce wrażliwym artystą, wyczulonym na barwę, brzmienie, na ich nieskończone przeciwieństwa. Cudowne piętra wrażliwości słyszałem w jego wstępie do 2 części III Koncertu – zaraz potem – jak natchnieni – pięknie muzykowali londyńscy symfonicy. Malarskie wręcz były dialogi pianisty z fletem, fagotem. Wszystko to realizowane było z wielką miłością do muzyki. Co do szczegółów, pianista wciąż zachwyca mistrzowską precyzją, ileż tych gamek i pasaży trzeba tu równieko wygrać, ale i wykonawczą finezją – pięknie rysował cudowne beethovenowskie frazy, ekscytując grane były tryle, czyściutkie repetycje, czy też swoistą brawurą – cudownie świeżo brzmiało oktafowe glissando w finale przetworzenia I Koncertu.

– *Jeśli ktokolwiek z nas, kiedykolwiek, brał muzykę za pewnik, że jest i będzie zawsze i wszędzie, to ten czas właśnie minął. Przypomina nam to, jak ważna i czysta jest muzyka Beethovena. To niezwykle twórca do wchodzenia z nim i jego muzyką w dialog, na koniec tak niezwyklego czasu – powiedział Sir Simon Rattle po grudniowych nagraniach, w momencie rodzącej się wtedy, kolejnej, brytyjskiej tym razem odmiany koronawirusa...*

Adam Rozlach (pr. 1 PR)



Niepublikowane nagrania Stefana Askenasego na płytach Meloclassic

- wydawca: Meloclassic
- rok wydania: 2020
- nr katalogowy: MC 1051
- płytę omawia: Maciej Chiżyński
- publikacja: 19 maja 2021 r.

Meloclassic nie przestaje zadziwiać wydobywaniem na światło dzienne kolejnych rzadkich, niepublikowanych dotąd nagrań dawnych mistrzów. Wśród najnowszych propozycji wytwórni nie mogło zabraknąć płyt rzucających nowe światło na sztukę wykonawczą artystów urodzonych na ziemiach polskich. Na szczególną uwagę zasługuje podwójny album z utworami Chopina, Ravela, Schumanna i Solera w interpretacji Stefana Askenasego, legendarnego pianisty rodem ze Lwowa (ur. 1896 r.), którego pamiętamy w głównej mierze jako pedagoga – do grona jego uczniów należeli Martha Argerich, Andrzej Czajkowski i Mitsuko Uchida.

Stefan Askenase w 1950 roku otrzymał obywatelstwo belgijskie. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zarejestrował szereg płyt dla Deutsche Grammophon. Był jurorem Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w 1955 i 1960 roku. Prezentowane przez Meloclassic nagrania pochodzą z lat 1952-1968, dokonane zostały dla kilku zachodnioniemieckich rozgłośni radiowych.

Pierwszy krążek otwierają Chopinowskie *Etiudy* op. 10, utrwalone przez Aske-

nasego w Studio 3 we Frankfurcie nad Menem 1 grudnia 1959 roku. Odczytanie to nietuzinkowe, miejscami szorstkie, wyróżniające się skromnym użyciem pedału – w konsekwencji jest ono w pewnym sensie jak zdjęcie rentgenowskie, na którym wychodzą na wierzch wszelkie potknięcia. Choć nie występuje ich tu wiele, to jednak skonfrontowani jesteśmy z niedostatkiem wielkiego pianisty, który przypuszczalnie nie zdawał sobie sprawy, że jego interpretacja będzie kiedykolwiek rozpowszechniona poza eterem. Mimo drobnych błędów tekstowych, od pierwszych akordów *Etiudy C-dur* artysta urzeka naturalnością frazowania i perlistością. Jego spojrzenie na opus 10 Chopina niesie w sobie coś z próby wnikięcia w kameralność, ba nawet i poniekąd intymność tej muzyki. Jest to więc na swój sposób wykonanie antywirtuozowskie, nieco suche, ale też śpiewne. Sopran w *Etiudzie Ges-dur* brzmią niczym dzwoneczki. Nagle przenosimy się do odrealnionej, baśniowej krainy pełnej blasku i migotliwych kolorów, nie zaś – jak ma to często miejsce na Konkursie Chopinowskim – na targowisko chińskiej porcelany.

Płytę numer 1 uzupełnia wybór dziewięciu *Nokturnów* Chopina zarejestrowanych 2 lutego 1962 roku w studio Norddeutscher Rundfunk w Hamburgu: op. nry 1-3, op. 15 nry 1 i 3, op. 32 nry 1-2, op. 37 nr 1 oraz op. 48 nr 2. Grę Askenasego charakteryzuje wra-

liwość na barwę, zmysłowość, delikatność, miejscami również pewna retoryczność, przejawiająca się trochę mocniejszym akcentowaniem pojedynczych dźwięków czy akordów – wszystko to jednak odznacza się umiarem i prostotą.

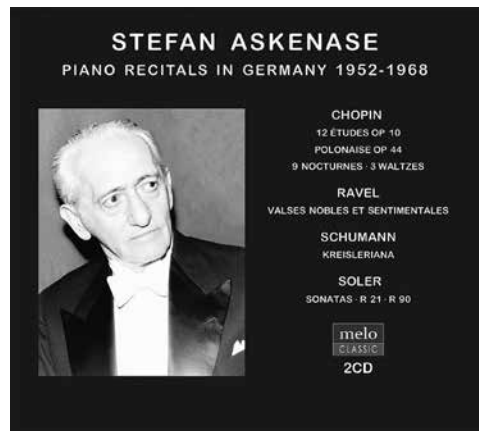
Na drugim krążku najpierw usłyszymy *Poloneza fis-moll* op. 44 Chopina w nagraniu z Frankfurtu z 26 kwietnia 1952 roku. Stefan Askenase stawia tu bardziej na nastrojowość i nostalgiczność niż brawurę. Fraza wydaje się miękka, nieznacznie zaokrąglona, wycieniowana tak dynamicznie, jak i agogicznie – nawet w części ostinatowej, w której dźwięk mógłby być nieco wyraziściej osadzony i artykułowany. W środkowym „mazurku” pobrzmiewają dźwięki jakby „wyrwane” wprost z wiejskiej karczmy – tyle, że naznaczone nie ludycznością, a zadumą i rozmarzeniem. W reprzyzie tematu polonezowego interpretacja nabiera rumieńców, staje się dziarska, jakkolwiek tu i ówdzie wkradają się drobne nieczystości.

Następnie usłyszymy *Walce* op. 64 nr 1-2 i op. 34 nr 1 Chopina oraz *Kreisleriana* Roberta Schumanna w nagraniach z Hamburga z 9 września 1955 roku. Askenase gra tu z lekkością, polotem i elegancją, brak jednak miejsca na błahość czy blichert. Pianista kreuje różnorodne nastroje, „bawi się” rubatem (*Walc cis-moll*), bywa triumfalny, koronkowy i przede wszystkim niesztampowy, aczkolwiek niesilący się na oryginalność (*Walc As-dur*). Z kolei w *Kreisleriana* odkrywamy pokłady uczuciowej głębi – od wzburzenia po liryzm i czułość. Askenase pięci dźwięki zachowując tę samą, co w chopinow-

skich *Etiudach*, oszczędność w pedalizacji.

CD nr 2 zamykają *Valses nobles et sentimentales* Maurice'a Ravela oraz dwie sonaty (R. 21 i R. 90) Antonio Solera, nagrane 5 maja 1968 roku w Berlinie. W walcach pianista ujmuje muzykalnością i tklivością – tak na poziomie brzmienia, jak i w prowadzeniu narracji. Artysta wydaje się całkowicie zanurzony w tę kompozycję, gra mądrze i dojrzałe, po mistrzowsku ujarzmił czas i opanowuje ciszę. Całość jawi się jakby była improwizowana – i o to chyba Ravelowi chodziło. W sonatach Solera, Askenase czaruje poetyckością, bogactwem odcieni artykulacyjnych oraz szeroką paletą barw. Jest wyrafinowany i wysmakowany, ale bez przesady. Wszystko okazuje się tu wyważone jak w złotym szwajcarskim zegarku. Pozostaje sięgnąć po butelkę wytrawnego czerwonego hiszpańskiego wina i delektować się.

Maciej Chiżyński



Ćwierć wieku temu – Bankowa Fundacja Kultury

Gwiazdozbiór wicepremiera

Przestawiciele ówczesnej polskiej finansjery wyasygnowali po dziesięć tysięcy, kilka osób o znanych nazwiskach dodało splendoru i tak w październiku 1995 roku narodziła się Bankowa Fundacja Kultury. W „Rzeczpospolitej” odnotowano ten fakt, ogłaszając: „150 tysięcy złotych na początek”. Mogli nawet napisać, że „na dobry początek”, bo inaczej być nie mogło: w aliansie z zasobnymi instytucjami finansowymi znaleźli się bowiem tak znani i cenieni przedstawiciele świata kultury, jak Maria Fołtyn, w owym czasie Prezes Towarzystwa Miłośników Muzyki Moniuszki, czy Andrzej Drawicz – po karierze na stanowisku szefa telewizji – redaktor naczelny rocznika „Studia Litteraria Polono-Slavica”, no i inicjator – patron tego przedsięwzięcia Grzegorz Kołodko – wicepremier i minister finansów, Przewodniczący Rady Fundacji.

Gdy ćwierć wieku później pytałem go o motywy, odparł, że wynikały zarówno z zamiłowania do muzyki, w czasach licealnych (grał na wiolonczeli) i gdy przewodniczył Komisji Kultury Zrzeszenia Studentów Polskich w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (obecnie SGH) a zwłaszcza z głębokiego przekonania, że kulturę trzeba i warto wspierać na rozmaite sposoby. Pisał więc o tym w 1993 roku w „Polityce” w tekście pt. „Kultura a rozwój” i w „Strategii dla Polski”, przygotowanej dla premiera Waldemara Pawlaka optując za zwiększeniem środków na kulturę. Stwierdzając przy tym, że istnieją także możliwości pozabudżetowego finansowania artystów i różnych projektów z dziedziny kultury i sztuki, jako wicepremier i minister finansów uznał że, sprawując te funkcje publicznie powinien dać przykład.

– „Nieustannie byłem pod ostrzałem rozmaitych środowisk – wspominał G. Kołodko – także tych mi najbliższych, z takich dziedzin jak: edukacja, nauka, kultura, czy sport na rzecz których pod-

jąłem wówczas wiele systemowych i indywidualnych decyzji. M.in. w 1997 roku skokowe podniesienie płac aż o 44 proc. wszystkim pracownikom państwowych instytucji kultury. Mój zamysł był taki, by powtórzyć to w kolejnym roku, co dałoby (licząc procentem składanym) podwojenie płac. Niestety, kto inny już wtedy prowadził politykę finansową. Tworząc Fundację chodziło mi zatem o dwie sprawy. Aby było w sumie więcej pieniędzy na kulturę, ale zarazem by relatywnie zmniejszyć nacisk na będące w trudnym położeniu finanse publiczne, po źle pomyślanym i źle wykonanym szoku bez terapii z początku lat 1990”.

Jak wspomina Bożena Cieślukowa, prezeska Fundacji:

– „Był to dla kultury czas nie najlaskawszy. Gdy załamało się systemowe finansowanie kultury przez struktury państwowe, a banki coraz mniej chętnie podejmowały się roli mecenasów czy sponsorów przedsięwzięć artystycznych. Statut fundacji pozwalał na symbiotyczną współpracę ze służbami PR banków-fundatorów. Chodziło o to, by spośród wniosków o dofinansowanie wyłaniać te, które spełniając indywidualny interes promocyjny fundatorów, były jednocześnie ważne dla kultury narodowej”.

Czuwali nad tym, służyli radą i sugestiami członkowie Rady Artystycznej Fundacji pod przewodnictwem Andrzeja Drawicza: dyrygentka Agnieszka Duczmal, pianista Piotr Paleczny, architekt Marek Dunikowski, malarz Stasys Eidrigevicius, aktor Gustaw Holoubek, reżyser Kazimierz Kutz, pisarz Stanisław Lem, krytyk i scenarzysta Krzysztof Teodor Toeplitz, skrzypek Konstanty Andrzej Kulka, historyk Janusz Tazbir, autorka Agnieszka Osiecka i aktorka Małgorzata Potocka. Był także w tym gronie pamięć Fundacja uczciła ustanawiając do roczną nagrodę jego imienia, w wysokości

25 tys. złotych przyznawaną za krzewienie polskiej kultury w świecie. Otrzymali ją kolejno: Wojciech Kilar (1996), Krzysztof Penderecki (1997) i Stanisław Lem (1998).

Z dofinansowania BFK korzystali też jej donatorzy. M.in. na życzenie Banku Gdańskiego wydano prace zbiorową pt. *Bankierzy i banki w dziejach Gdańska*. Wsparcie uzyskał Bank Przemysłowo-Handlowy, organizując koncert Wandy Warskiej w Teatrze Starym w Krakowie i fundując stypendia kilkorgu młodym muzykom. Powszechny Bank Gospodarczy współfinansował Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny im. Aleksandra Tansmana w Łodzi, Spotkania Baletowe w Teatrze Wielkim i koncert w Instytucie Kultury Polskiej w Berlinie, CITY BANK POLAND SA uzyskał dotację na renowację dzieł malarstwa ze zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie.

Wielkim przedsięwzięciem BFK było sfinansowanie i organizacja wraz z Filharmonią Narodową europejskiego prawykonania *Siedmiu Bram Jerozolimy* Krzysztofa Pendereckiego, uznane za jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych w kraju w roku 1997.

W tym samym roku Fundacja zakupiła autograf Fryderyka Chopina i złożyła go w depozycie w Muzeum im. F. Chopina, a następnie pozostawiła w nim jako darowiznę. Wydała także wysoko oceniony album o Krzysztofie Kiesłowskim i pierwszy tom *Korespondencji Jarosława i Anny Iwaszkiewiczów*.

Profesor Kołodko, spytany, czy spełniły się jego oczekiwania wobec Fundacji odparł, że liczył na większą hojność sponsorów. I dalej:

– „Mimo to Bankowa Fundacja Kultury odegrała w Polsce prekursorską rolę. Pokazaliśmy ćwierć wieku temu, w początkach transformacji do gospodarki rynkowej – jak można pomóc w finansowaniu kultury poza budżetem i rynkiem, gdzie sprzedaje się dobra i usługi kultury”.

Zaś na pytanie: co by zrobił dziś dla polskiej kultury i polskiego środowiska artystycznego, będąc wicepremierem i ministrem finansów? – odpowiedział:

– „Przede wszystkim zwiększyłbym nakłady z budżetu państwa na kulturę – tak elitarną, jak i masową. Środki próbowałbym wygospodarować w ramach obecnego budżetu, ograniczając marnotrawne wydatki wojskowe, tzw. obronne. Na pewno próbowałbym też wypracować lepsze niż te istniejące instrumenty finansowania kultury z budżetów samorządów terytorialnych – tak na szczeblu województw, jak i gmin. I głośno chwaliłbym fundacje oraz indywidualnych sponsorów, którzy nie szczędzą grosza dla naszej kultury, dla jej twórców i odbiorców”.

To przesłanie, na skalę lokalną, stara się dziś wdrażać Małgorzata Potocka, nawiązując do prekursorskiej roli Fundacji, zarówno od strony organizacyjnej, jak i praktycznej. Mówi:

– „Sięgnęłam do zasad organizacyjnych i statutu BFK, gdy objęłam dyrekturę Teatru Powszechnego im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Odwiedziła wówczas większość miejscowych biznesmenów, przypominając, że z Radomia pochodzili Jacek Malczewski, Leszek Kołakowski, Witold Gombrowicz, Maria Fołtyn i Andrzej Wajda – a to zobowiązuje.

Podczas spotkań z przedstawicielami miejscowego biznesu zaproponowałam utworzenie fundacji, która, jako współproducent da możliwość realizacji ambitnych projektów teatralnych, koncertów, warsztatów edukacyjnych i wspierać będzie rodzime talenty. Zaprosiłam do dyskusji pod hasłem „Nowatorski projekt finansowania kultury”, z udziałem – przybyłych z Łodzi gości – twórców Fundacji Łódź Arte.

Łoża biznesu – Radom Arte zaistniała już w czasie Festiwalu im. Gombrowicza, gdy wręczyliśmy nagrodę pierwszemu laureatowi Jarosławowi Krzyżanowskiemu, który wspiera wszystkie większe inicjatywy i instytucje w mieście; w tym także nasz teatr. <Nasi> biznesmeni już wiedzą, że angażując się w przedsięwzięcia kulturalne budują sobie trwałe pomniki”.

Adam Grzybowski

Nowa sala koncertowa w Łodzi

Pierwsza na świecie sala koncertowa im. Artura Rubinsteina

WOgólnokształcącej Szkole Muzycznej I i II st. im. H. Wieniawskiego w Łodzi (ul. Sosnowa) oddano do użytkowania nowoczesną, wyremontowaną gruntownie dużą salę koncertową; szkoła dysponuje jeszcze salą kameralną. Remontem objęto całą przestrzeń sali, wymieniono zatem podłogi, scenę, widownię – tu zamontowano nowe fotele (264 miejsc), urządzono na nowo ściany i sufit wyposażone w regulowane panele i elementy akustyczne. Sala zyskała też nowe oświetlenie, klimatyzację, nagłośnienie z zamontowaną na stałe konsolą do nagrań.

Remont wykonano kosztem 6,7 mln złotych, sfinansowany z programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zagospodarowano też przy pomocy Miasta otoczenie szkoły w tym nasadzono wiele sosen – jak na ulicę Sosnową przystało. Przed wejściem urządzono zatokę dla samochodów, ustawiono ławeczki etc.

Cenne przy okazji remontu są też dwie inne ważne sprawy:

– zakupiono (z funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego) nowy fortepian koncertowy steinway oraz gruntownie

wyremontowano drugi fortepian koncertowy tej marki, jakim dysponowała szkoła;

– sala otrzyma imię Artura Rubinsteina (zm. 1982), najslawniejszego łodzianina

i jednego z największych pianistów świata. Rodzina Rubinsteinów wyraziła zgodę na nadanie imienia sali, wystosowała do dyrektora szkoły Małgorzaty Irchy (inicjator remontu i przebudowy sali) list ze stosowną zgodą.

Jest to pierwsza i jedyna na świecie sala koncertowa im. Artura Rubinsteina. Pani Nela Rubinstein odwiedziła szkołę, także obie córki pianisty Ewa i Alina bywały w tej szkole podczas Rubinstein Piano Festiwalu; najbliższy w październiku 2022.

(WG)



Zaproszenie do Poznania, na wystawę o Armii Polskiej w Ameryce

Wystawa zatytułowana „W drodze do niepodległości. Kanadyjski przystanek – Obóz Kościuszko w Niagara-on-the-Lake, 1917-1919” (czytaj o niej na str. 4) gościć będzie w bibliotece Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zapraszamy 1 VII – 31 VIII 2021, Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu.

Zapraszają: Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Fundacja Kultury i Biznesu w Łodzi, Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu, ul. Ratajczaka 38/40, tel. 61 829 38 42.

Prezentacja wystawy sponsorowana przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce.



EC1 Łódź – Miasto Kultury

EC1 w Łodzi (ul. Targowa 1/3) to była elektrociepłownia z pierwszą w mieście elektrownią, powstały tu dwa duże kompleksy techniczne: EC1 Wschód w 1907 roku i EC1 Zachód w 1920 roku. Piękne fabryczne budynki w czerwonej cegły przetrwały obie wojny światowe, PRL, po wygaszeniu w nich produkcji stały puste, wykorzystywane były na inne działalności, aż w pocz. XXI wieku władze Łodzi postanowiły zagospodarować je na cele kulturalne. Zaplanowano utworzyć wokół nowego Dworca Fabrycznego i EC1 tzw. Nowe Centrum Łodzi na pow. ok. 90 ha, m.in. z kompleksem budynków zwanych Bramą Miasta – to te czarno-brązowe trzy „biurowce” istniejące już przy ul. Kilińskiego 66 vis-à-vis ul. Traugutta. Na tym terenie, przy EC1, miało też powstać centrum festiwalowo-kongresowe Camerimage Łódź Center z obiektami wg projektu Franka Gehrego (architekt uprawia styl dekonstruktywizm); jednak nie doszło do realizacji projektu a festiwal Camerimage opuścił Łódź. W 2008 roku Miasto uchwałą Rady Miejskiej w Łodzi z 9 IV 2008 powołało

nową samorządową instytucję kultury pod nazwą „EC1 Łódź – Miasto Kultury” w Łodzi. W 2015 roku Rada Miejska uchwałą nr XVIII/408/15 dokonała zmian w uchwale i uchwaliła statut instytucji.

Od 2014 roku projekty inwestycyjne w EC1 współfinansowane są ze środków Unii Europejskiej w ramach projektu Infrastruktura i Środowisko POIiS 2014-2020; kwota inwestycji 21,5 mln z tego 13,8 mln z UE.

Miasto podpisało także z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego stosowne umowy o współpracy i współfinansowaniu, w ramach której prowadzone są obecnie trzy placówki:

1. **Centrum Nauki i Techniki** (CNiT) wraz z Planetarium – ostatnia część ekspozycji zostanie otwarta w 2021 roku;

2. **Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej** (CKiNI) – muzeum zostanie otwarte pod koniec 2022 roku;

3. **Narodowe Centrum Kultury Filmowej** (NCKF) – trwa budowa obiektu, planowane otwarcie w 2023 roku.

CNiT posiada kilkupoziomowy pofabryczny obiekt, w którym poprzez stare

oryginalne eksponaty i nowe technologie (gry, zabawy, prezentacje) prezentowana jest m.in. elektrownia, laboratorium, rozdzielnia, kotłownia, pompownia, maszynownia, strefa człowiek w kosmosie. Jest tu sala konferencyjno-kinowa zwana Audytorium, wyposażona w 200 miejsc. Na terenie centrum realizowany jest projekt „Ulica Żywiółów”, jest to część obiektu przeznaczona dla dzieci w wieku od lat trzech do dziesięciu; nauka przez zabawę, prezentacja istnienia i ujarzmiania pięciu żywiołów: ziemi, powietrza, ognia, wody i wprowadzonego tu piątego żywiołu tj. życia.

Parter CNiT do czasu oddania budowanego obiektu NCKF przeznaczono na cele tegoż NCKF. Pokazywana jest tu wystawa filmowa: zabytkowy sprzęt filmowy, stroje, plakaty etc. Prowadzi się tu spotkania z ludźmi filmu, projekcje filmowe (jest dwupoziomowa sala projekcyjna z jednym ekranem), warsztaty edukacyjne, czynna jest czytelnia NCKF, można obejrzeć pierwszy polski film *Powrót birbanta* z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim, z 1902 roku, reż. Kazimierz Pruszyński – jest to wersja zrekonstruowana w NCKF w 2018 roku, oryginał nie zachował się.

W nowym obiekcie będzie szereg instytucji (wydziałów NCKF), prowadzących działalność wystawienniczą, edukacyjną, popularyzującą kulturę audiowizualną. Będzie tam nowoczesne trzysalowe kino (z trzema salami), pracownia multimedialna i in. Nazwy stałych ekspozycji NCKF to: „Kino Polonia”, „Mechaniczne oko”, „Materia kina”. Instytucja będzie zajmować powierzchnię 1500 m².

W centrum EC1 zachowano m.in. stożkową wysoką na 40 metrów dawną chłodnię kominową (widoczną z daleka), na terenie EC1 Zachód. Urządzane są w niej wystawy zaś w sezonie letnim z tarasu widokowego znajdującego się na jej szczycie można oglądać miasto.

Największe wydarzenia organizowane są w starej historycznej hali maszyn w EC1 Wschód, można tu wstawić nawet 2000 krzesel; nad halą znajdują się nowoczesne sale konferencyjne.

Wokół EC1, Dworca Fabrycznego, w kwartale: Tuwima, Kilińskiego, dworzec, Wierzbowa, na terenie tzw. Nowego



Centrum Łodzi wytyczono wiele nowych ulic, ich nazwy to: Aleja Rodziny Poznańskich, Aleja Rodziny Grohmanów, Aleja Rodziny Scheiblerów, Janiny Porazińskiej, Krzysztofa Kiesłowskiego, Wojciecha Jerzego Hasa, Barbary Sass-Zdort, plac prof. Janusza Szoslanda. Stare ulice zyskały nowy wygląd, przedłużono ul. Doborczyków – przecina teraz ul. Tuwima. Wyremontowano i zaadaptowano stare kamienice, wybudowano nowe „szklane” domy, umieszczono w takim nowym obiekcie m.in. filię Biblioteki Miejskiej.

EC1 znajduje się na obszarze ok. 5 ha, zatrudnia ok. 180 osób, rocznie odwiedzało to miejsce 800.000 gości w tym wielu przychodzi do planetarium, które mieści na widowni 110 osób, jest w nim także kino sferyczne.

Ten ogromny teren, czeka na tchnięcie weń jakiegoś ducha, na ludzi z pasją, na rozpoznawalność i popularność w Polsce i na świecie. Myślę, że powinno nazwać się NCKF imieniem Poli Negri (poza stworzeniem osobnego muzeum jej imienia lub stałej wystawy w Łodzi), dołożyć centrum muzyki imienia najsłynniejszego łódzianina Artura Rubinsteina (muzyka wpisana jest w statut EC1), nazwać Centrum Nauki i Techniki np. imieniem Marii Skłodowskiej-Curie; to światowe rozpoznawalne nazwiska: nobilitujące, zobowiązujące i przyciągające. (WG)



Muzeum Poli Negri w Łodzi? Czemu nie!

Czytelnik, po uważnym przeczytaniu dodatku (strony 11-14) o Poli Negri – największej polskiej i światowej aktorce filmowej kina niemego, jedynej Polce, która osiągnęła międzynarodową sławę aktorską – zapewne podzieli i poprze moją propozycję urządzenia wreszcie w Polsce muzeum biograficznego tej wybitnej polskiej artystki.

Skoro Warszawa nie jest zainteresowana upamiętnieniem gwiazdy, powinna zrobić to Łódź i zyskać przy tym ogrom aplauzu i światowe zainteresowanie. Kino i film nadal są magiczne, przyciągają miliony ludzi, a Łódź nadal jest filmowa! Muzeum Poli Negri mogłoby powstać w EC1 – w Narodowym Centrum Kultury Filmowej, dysponującym ogromnym budżetem i nowoczesnymi pomieszczeniami. Inna sprawa, że imię Poli Negri dawno też powinno nosić Muzeum Kinematografii w Łodzi!

Piszę w przytoczonym Dodatku o Poli Negri o Muzeum Kinematografii, o jego dużej wystawie z 2007 roku pt. „Pola Negri – legenda kina” (kuratorzy Krystyna Zmysłowska i Piotr Kulesza), dla której zakupiono dużą liczbę eksponatów i stanowią największy w Polsce zbiór pamiątek po aktorce. Są

to: stroje (suknia i pantofle z filmu *Księżycowe prądkie*), plakaty, afisze, fotosy, zdjęcia, dokumenty, książki aktorki i o aktorce, karty pocztowe, płyty gramofonowe, czasopisma i in. Zbiór taki daje możliwości urządzenia stałej wystawy lub poważnej galerii – a pozyskawszy kolekcję np. Mariusza Kotowskiego – można stworzyć znakomite światowe muzeum Poli Negri w Łodzi, ciekawsze (porównując) od tego Marleny Dietrich w Berlinie w Muzeum Filmu. Tam dbają o pamięć swoich gwiazd; w Berlinie nawet hala w studiu filmowym nosi imię Marleny Dietrich.

O tym, że Łódź jest miastem filmowym nie można tylko mówić, cieszyć się że jest tu Szkoła Filmowa, wytwórnie filmowe, Muzeum Kinematografii, tworzy się Narodowe Centrum Kultury Filmowej w EC1, jest Oscar Artura Rubinsteina w Muzeum Miasta Łodzi, Aleja Gwiazd na Piotrkowskiej etc. Trzeba pogłębiać to kolejnymi czynami, wyjść do świata.

Łódź powinna promować się w Polsce i świecie głównie przez Artura Rubinsteina (dziwne, że robi to niechętnie) i poprzez film – tworząc m.in. Muzeum Poli Negri, gwiazdy Hollywood.

Wojciech Stanisław Grochowski



Gwiazda Poli Negri na ul. Piotrkowskiej

MARZENIA BIZNESMENÓW

Bentley królowej

Brytyjski dealer samochodów Bramley Motor Cars (tu składać oferty) wystawił ostatnio na sprzedaż samochód królowej Elżbiety II. To ośmioletni ciemnozielony Bentley Mulsanne z 2013 roku z przebiegiem 4 tys. km; silnik V8 o pojemności skokowej 6,74 litra, moc 512 KM, napęd na tylne koła, waży 2,5 tony, przyspieszenie od zera do 100 km/h trwa 4,9 sek. Auto jest wyjątkowe nie tylko ze względu na markę czy model, ale przede wszystkim pochodzenie. Ma jasne, beżowe wnętrze z drewnianymi wstawkami, na pokładzie pełne dostępne wyposażenie. Cena pewnie dobije do 150.000 dolarów (?).

Mój kolega skomentował: zachwalają, że „mimo iż auto ma osiem lat, wygląda jak nowe”, ale to jednak „anglik” – z kierownicą po prawej stronie...



Alicja GÓRSKA

Przegląd historii łódzkiej myśli filmoznawczej

Nie zliczę, ile razy odpowiadając na pytanie, gdzie i co studiowałam, z drugiej strony padało „Filmoznawstwo w Łodzi? To na tej słynnej filmówce, tak? To znaczy, że pracujesz przy kręceniu filmów?”. Nie da się ukryć, że filmoznawstwo jako dyscyplina naukowa wciąż wielu wydaje się czymś egzotycznym. Tylko w Łodzi jednak staje się przyczynkiem tak ogromnej ilości nieporozumień, ginąc gdzieś w skojarzeniach ze słynną Państwową Wyższą Szkołą Filmową, Telewizyjną i Teatralną im. Leona Schillera. Jest to o tyle zabawne (a być może po prostu gorzkie), że Łódź to kolebka filmoznawczej myśli w Polsce. Tak, zgodnie z ogólnodostępną informacją na oficjalnej stronie kierunku „działający na Uniwersytecie Łódzkim Zakład Historii i Teorii Filmu jest najstarszym w Polsce uniwersyteckim ośrodkiem badań filmoznawczych”.

Narodziny filmoznawstwa w latach 50. jako specjalności studiów polonistycznych

Narodziny polskiego, a więc i łódzkiego, filmoznawstwa są nierozdzielnie związane z postacią Bolesława W. Lewickiego, który urodził się we Lwowie 28 sierpnia 1908 roku. Lata studenckiej edukacji Lewickiego przypadły na lata 1926-1931 – zgłębiał wtedy polonistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Jego zainteresowania badawcze koncentrowały się początkowo przede wszystkim na literaturze, ale w czasie pisania dysertacji „Poeta i legiony. O lirycie i pieśni żołnierskiej”, opublikował również takie prace, jak „Młodzież przed ekranem”, „Budowa utworu filmowego”, czy „Film w nauce i szkole”. Wiadomo także, że brał również udział w seminarium poświęconym materiałom światłoczułym, które na Politechnice Lwowskiej prowadził prof. Witold Romer, a w późniejszych latach uczestniczył w wykładach prowadzonych przez Romana Ingardena. Znany badacz opowiadał na nich także o kinie z perspektywy naukowej.

Zapoczątkowane w okresie studiów zainteresowania zaowocowały pracą zawodową. Już od 1930 roku zajmował się krytyką filmową, publikując swoje recenzje w „Słowie Polskim”, czy „Gazecie Lwowskiej”. Z czasem przemyslenia o filmie zaczął także prezentować w formie audialnej – w latach 1932-1939 prowadził w Polskim Radio audycję o kinematografii. Nie ograniczał się jednak wyłącznie do opowiadania o filmach. Lewicki od początku miał zacięcie organizatorskie i w 1932 roku powołał we Lwowie do życia klub filmowy „Awangarda”.

Filmoznawczy rozwój Lewickiego przerwała wojna. Bardzo szybko, przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy, został pojmany i aresztowany. W konsekwencji, jako więzień polityczny, trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, następnie do Gross-Rosen, Dachau i Pottenstein. Wolność odzyskał w kwietniu 1945 roku, ale do Polski wrócił dopiero w 1947. Przez te dwa lata na Zachodzie współpracował z Komisją do Badania Zbrodni Hitlerowskich. Kiedy powrócił do Polski, na miejsce swojego pobytu wybrał Łódź.

Łódź już wtedy była miastem intensywnie związanym z filmem, przyciągającym wiele wybitnych postaci kultury i nauki. Po wojnie bardzo szybko potencjał tego zjawiska został wykorzystany. Lewicki już w grudniu 1947 roku został dyrektorem programowym łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Ledwie

rok później uczestniczył w zakładaniu słynnej łódzkiej filmówki. Związany był z nią przez całe lata, pełniąc w tym czasie funkcje prodziekana, dziekana, kierownika katedry oraz rektora (w latach 1968-1971).

Z perspektywy tematu niniejszego tekstu – krótkiej historii łódzkiego filmoznawstwa – najbardziej przełomowym momentem okazał się dla Lewickiego rok 1959. Nie tylko zaczął wtedy pracę naukową w Zakładzie Historii i Teorii Filmu Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk, nie tylko został Członkiem Rady Naukowej IS PAN, ale przede wszystkim przyjął rolę kierownika Zakładu Wiedzy o Filmie Uniwersytetu Łódzkiego – pierwszego tego typu ośrodka w Polsce.

Nie można nie zauważyć, że specyficzna struktura instytucjonalna młodziutkiego filmoznawstwa ugruntowała kierunek rozwoju i myśli Lewickiego, który od studenckich lat balansował pomiędzy filmem i literaturą. Łódzka dyscyplina poświęcona kinematografii funkcjonowała bowiem w ramach Katedry Teorii Literatury (swoją drogą kierowanej w tamtym okresie przez

2002, w związku z rozwojem tematyki badań, Zakład Wiedzy o Filmie przekształcony został w Katedrę Mediów i Kultury Audiowizualnej, z której wyodrębniono Zakład Historii i Teorii Filmu. Dopiero w 2016 roku powołane zostały samodzielne studia filmoznawcze na poziomie licencjackim. Najnowszą zmianą w strukturach organizacyjnych nauki o filmie jest przekształcenie zakładu w Katedrę Filmu i Mediów Audiowizualnych w 2020 roku (równolegle wyodrębniła się Katedra Nowych Mediów i Kultury Cyfrowej, przecinając w ten sposób wieloletnią zależność nauki o filmie oraz nauki o nowych mediach).

Wielcy ludzie, których dało światu łódzkie filmoznawstwo

Równie często, jak łódzka filmówka przypomina historię, znaczenie i pozycję łódzkiego filmoznawstwa, skrywa też jego absolwentów. Wielu z pewnością słyszało, że na liście osób, które ukończył PWSFTiTV znajdują się takie osobistości, jak Andrzej Wajda, Krzysztof Kieślowski, Jerzy Skolimowski, czy Zbigniew Rybczyński. Niestety, absolwenci łódzkiego filmoznawstwa nie są równie łatwo rozpoznawalni (nawet mimo tego, że bardzo często chodzi o jedną osobę). Tymczasem o filmie na Uniwersytecie Łódzkim uczyli się między innymi:

- Paweł Edelman – operator filmowy, który w 2003 roku został nominowa-



Bolesław Lewicki (1908-1981), <http://www.lewicki.uni.lodz.pl>

inną wybitną postać polskiej nauki – prof. Stefanii Skwarczyńską). Zależność ta znalazła odbicie w publikacjach Lewickiego – od „Gramatyki języka filmowego” z 1959 po „Obrazowość poetycką. Uwagi z pogranicza poezji i filmu” z 1976 roku. W swoich tekstach budował między filmem a literaturą uzależniającą więź, starając się przy tym wykazać, że właśnie z powodu tak silnych między tymi formami zależności, należy się filmowi nobilitacja i awans w dziedzinie naukowej myśli. W centrum jego zainteresowań pozostawały także refleksje nad filmem naukowym i oświatowym.

W 1973 roku Katedra Teorii Literatury stała się Instytutem Literatury, Teatru i Filmu. Do 30 września 1973 roku kierowała nim Stefania Skwarczyńska. Po niej stanowisko to objął Bolesław Lewicki, który pozostał dyrektorem Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ do 1978 (po nim funkcję kierownika Zakładu przejęła doc. Pola Wert). Warto jednak wspomnieć, że od 1975 roku filmoznawstwo nie stanowiło już odłamu studiów polonistycznych, lecz kulturoznawczych. Był to kolejny krok na drodze ku samodzielności.

Na kolejne przemiany pod względem strukturalnym, które pozwoliłyby na niezależność studiów filmoznawczych, trzeba było jednak czekać dość długo. W roku

ny do Oscara za zdjęcia do filmu „Pianista”, a w 2005 roku otrzymał Hollywoodzką Nagrodę Filmową w kategorii „Operator roku”. W swoim dorobku posiada też nagrodę Orła przyznaną przez Polską Akademię Filmu;

- Dorota Kędzierzawska – reżyserka i scenarzystka wielokrotnie nominowana i nagradzana na polskich oraz światowych festiwalach filmowych. Autorka takich filmów, jak „Wrony” (1994), „Jestem” (2005), „Pora umierać” (2007), czy „Jutro będzie lepiej” (2010);

- Władysław Pasikowski – reżyser i scenarzysta, autor m.in. kultowej już serii filmów „Psy”. Za swoje dokonania artystyczne wielokrotnie otrzymywał najważniejsze polskie nagrody filmowe – Złotą Kaczkę czy Złotego Lwa;

- Piotr Trzaskalski – reżyser i scenarzysta, który zjednał sobie przychylność krytyków i widzów już debiutanckim filmem „Edi” w 2002 roku (zdobył za niego 5 nagród na XXVII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni). W 2004 roku mianowano go członkiem Europejskiej Akademii Filmowej;

- Anita Werner – ceniona dziennikarka telewizyjna oraz autorka publikacji książkowych. Trzykrotnie otrzymała Wiktora, czyli Nagrodę Akademii Telewizyjnej; czterokrotnie Telekamerę „Tele Tygodnia; trzy-

krotnie nagrodę w studenckim plebiscycie MediaTory. W 2017 (razem z Jowitą Baraniecką) wręczono jej Nagrodę im. Kazimierza Dziewanowskiego przyznaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich za rok 2016 za reportaż „Miss więzienia”.

Wśród absolwentów łódzkiego filmoznawstwa wskazać należy także między innymi Piotra Iwanickiego (autora ciepło przyjętej i wielokrotnie nagradzanej na całym świecie gry wideo „Superhot”), czy Dianę Dąbrowską (cenioną krytyczkę filmową, autorkę pisać m.in. do magazynu „Kino”, laureatkę prestiżowej nagrody w konkursie im. Krzysztofa Mętraka dla młodych krytyków filmowych).

Warto również wspomnieć, że mimo upływu lat i rozwoju kierunku filmoznawczego na innych polskich uniwersytetach, łódzki ośrodek wciąż tętni życiem. W 2015 roku Uniwersytet Łódzki jako pierwszy w Polsce był miejscem organizacji największej w Europie cyklicznej konferencji poświęconej mediom i kulturze audiowizualnej, czyli NECS. W 2019 roku z kolei Katedra Mediów i Kultury Audiowizualnej odpowiadała za organizację III Zjazdu Filmoznawców i Medioznawców – największego tego typu spotkania w kraju.

Nie można także zapominać, że poza kształceniem kolejnych pokoleń filmoznawców, Zakład Historii i Teorii Filmu zajmuje się intensywnymi badaniami z obszarów filmu i kina. Na swojej oficjalnej stronie kierunek chwali się realizacją w ostatnich latach przynajmniej trzech grantów badawczych:

- „Pozasystemowe sposoby użytkowania nowych technologii medialnych w okresie schyłkowego PRL” (zleceńodawca: Narodowe Centrum Nauki; kierownik: prof. Piotr Sitarski),

- „Kino polskie lat 1918-1939 w perspektywie interkulturowej” (zleceńodawca: Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, kierownik: prof. T. Kłys),

- „Pamięć lat nazizmu w niemieckim filmie fabularnym” (zleceńodawca: Narodowe Centrum Nauki, kierownik: dr K. Klejsa)

oraz jednym znajdującym się w toku:

- „Rozpowszechnianie filmów w Polsce Ludowej” (finansowany w kwocie 998.000 zł ze środków Narodowego Centrum Nauki w ramach projektu Sonata Bis, kierownik: dr hab. Konrad Klejsa).

Co dzisiaj powiedziałby Bolesław W. Lewicki spoglądając na nowoczesne mury Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, w którym znajduje się także Zakład Historii i Teorii Filmu? Być może zmartwiłoby go nieco odejście od literaturoznawczych tradycji jego ukochanej dyscypliny. Wierzę jednak, że ostatecznie wygrałaby w nim duma – z rozwoju filmoznawstwa przez te lata, z energii kierunku, pod który stawiał podwaliny oraz (rzecz jasna) z jego wybitnych absolwentów, których liczba rośnie z roku na rok.

Bibliografia:

- Anna Zatora, *Co winno być przeczytane. 70 lat Katedry Teorii Literatury (1945-2015)* [w:] „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 58/116, 2015, s. 149-154.

- Jan Rek, *Profesor Bolesław W. Lewicki – między filmem i literaturą* [w:] „Acta Universitatis Lodzensis Folia Litteraria” 9, 2007, s. 3-13.

- Mirosław Kaca, Ryszard W. Kluszczyński, *Bibliografia prac Bolesława W. Lewickiego (1948-1977)* [w:] „Acta Universitatis Lodzensis Folia Litteraria” 2, 1981, s. 333-340.

- Oficjalna strona filmoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim: <http://filmoznawstwo.uni.lodz.pl/o-zakladzie/historia> (dostęp: 16.05.2021) ■

Wszystko, co nasze, Polsce oddamy...

Ciekaw jestem, jak wielu młodych ludzi w mieście nad Łódką, zna, pamięta i potrafi uzupełnić przytoczone powyżej słowa wspaniałego harcerskiego hymnu (najpierw był to *Hymn Skautów*)? Ile osób wie kto był jego autorem (Ignacy Kozielski); kiedy się ów hymn narodził (w r. 1911) i jak to się stało, że przez tyle pokoleń, przy harcerskich ogniskach, biwakach, a później w partyzanckich oddziałach i na powstań- czych barykadach powtarzano, jak rozkaz: „W NIEJ TYLKO ŻYCIE – WIĘC IDZIEM ŻYĆ!”

Mijają lata, zmieniają się piosenki, ale będę optymistą i wierzę, że ten piękny, stary harcerski (od r. 1918) hymn będzie (nie tylko dla harcerzy) pieśnią nie do zapomnienia. Jest w niej bowiem tyle miłości do ojczyzny, tyle odwagi i przekonania, że Polska zasługuje na oddanie jej wszystkiego co w nas najlepsze, że zawsze będzie podrywać młodych do czynu, a starszych – na wspomnienie ich młodych, harcerskich lat ogarnie z pewnością nieudawane wzruszenie.

Właśnie o minionych latach, o ludziach nie do zapomnienia, o tych, których harcerska przysięga i związany z nią etos postępowania, zobowiązywały do wypełnienia tego, o czym śpiewali w swoim hymnie – opowiada pewna ważna książka. Ukazała się niedawno pod redakcją Dariusza Nowińskiego a jej przesłanie wyraża najprościej i najpełniej tytuł: **OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA**.

Twórcom tej publikacji – poprzez teksty autorów zawartych w książce – chodzi bowiem o to by, w oparciu o osobiste doświadczenia bohaterów tamtego czasu, ocalić od niepamięci to, co składało się na losy kraju i młodzieży polskiej w przededniu odzyskania niepodległości – ze szczególnym uwzględnieniem przeżyć dziewczyn i chłopców, „z miasta Łodzi” w okresie narodzin najpierw polskiego skautingu, a potem budowy fundamentów polskiego harcerstwa.

Autorzy tego cennego opracowania poświęcił je pamięci dwojga łódzkich harcerzy: druhny Hanny Miecznikowskiej i druha Lucjana Muszyńskiego.

Głównym bohaterem tej frapującej, pełnej ciekawych szczegółów i opisu wielu historycznych wydarzeń, książki jest Tadeusz Kalusiński, człowiek, o którym – jak słusznie powiedziano w redakcyjnym wstępie:

Niewiele osób wie, że dla łódzkiego skautingu był tym, kim dla ogólnopolskiego ruchu harcerskiego był Andrzej Małkowski.

To właśnie wspomnienia Kalusińskiego (zm. w 1972 r., obszerne biogram zamieszczono w książce) z lat, w których Polski nie było, ale była nieugięta wiara, że wkrótce powstanie z niewoli, są główną częścią rekomendowanej dzisiaj przez „Kulturę i Biznes” książki.

Trudno w kilku akapitach przedstawić jej obszerną treść – obejmującą wiele wydarzeń i wiele form pracy składających się na narodziny łódzkiego skautingu. Dowiemy się z niej m.in. o powstaniu Organizacji Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie”, o wydarzeniach w latach 1911-1912 w zaborze carskim, o powstających wówczas polskich organizacjach wojskowych, poznamy cechy chłopców z Tajnego Skautingu. O tym, na jakim podłożu formowały się ówczesne patriotyczne inicjatywy łódzkiej młodzieży tak pisze we wstępie Dariusz Nowiński:

– „Rozwijająca się od 1905 roku akcja przywracania nauczania w języku polskim skutkować musiała tworzeniem się środowisk polskiej młodzieży, która angażowała się w działalność patriotyczną i niepodległościową na różnych polach. Oprócz działalności samokształceniowej, przejawiało się to w zaangażowaniu w bardziej lub mniej jawne (Zarzewie, skauting) struktury wykorzystywane do przygotowania polskiej młodzieży do zrywu wolnościowego”.

Szczególnie interesującą częścią książki są wspomnienia Tadeusza Kalusińskiego z pracy skautowej w Łodzi w latach 1911-1914, informacje o sytuacji panującej wówczas w mieście, pierwszych krokach drużyny łódzkiej, łódzkich skautkach, wprowadzaniu nazewnictwa i specyfiki polskiej do skautingu, itd.

Na duże poznawcze (również dla zawodowych historyków) znaczenie książki **OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA** składają się zamieszczone w tym studium wspomnienia wielu autorów,

np. Wacława Lipińskiego. Lipiński to: łódzianin, legionista, historyk, doc. lwowskiego uniwersytetu. Po 1945 r. działacz opozycji, aresztowany w 1947 r., skazany na karę śmierci zamienioną wprawdzie na dożywocie, ale potem prawdopodobnie zamordowany w więzieniu we Wronkach. Autor ten świetnie oddaje w swoim tekście atmosferę owych lat, w których gromady łódzkich uczniów zamieniały się (często mimo oporu rodziców) w drużyny dzielnych skautów, a niedługo po wybuchu I wojny światowej w oddziały bohaterskich legionistów.

Początki skautingu w Łodzi wspomina również w interesującym szkicu Edward Radwan-Pfeiffer – łódzianin, żołnierz Legionów. W Łodzi działał w ramach Polskiej Organizacji Wojskowej i harcerstwa, uczestnik rozbrajania Niemców w naszym mieście. W okresie międzywojennym oficer Wojska Polskiego i instruktor harcerski. Podczas okupacji niemieckiej w AK. Warto podkreślić, że podczas Powstania Warszawskiego to właśnie „Radwan” dowodził obroną Śródmieścia. Píše np. tak:

– „Z wiosną 1913 r. zaczęliśmy robić nocne ćwiczenia. Ileż to było emocji, drżenia i radości z tych nocnych wart, podkradania i wyczekiwań w wiatrem podbitych pelerynach, w często zimne jeszcze lub deszczowe noce. Ale też chyba nic bardziej nie hartowało i nie wyrabiało nas – przyszytych żołnierzy”.

*

Cennym i wartym uważnego studio- wania fragmentem książki są noty biograficzne osób wymienionych w publikacji. Z notek tych układa się niezwykle ciekawy zarys życia pokolenia, którego przedstawiciele tak często i z wielkim poświęceniem udowadniali, że słowa: **Wszystko, co nasze Polsce oddamy!** – rozumieli jako najważniejsze życiowe zobowiązanie.

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA jest książką, która powstała dzięki zaangażowaniu w ten projekt sporej grupy osób, wśród nich Rodziny Kalusińskich oraz środowisk finansowym z Narodowego Instytutu Wolności. A jej wartość wspomnieniowa i faktograficzna pozwala na nadzieję, że znajdzie ona m.in. miejsce w niejednej szkolnej, a już na pewno w harcerskiej – bibliotece.

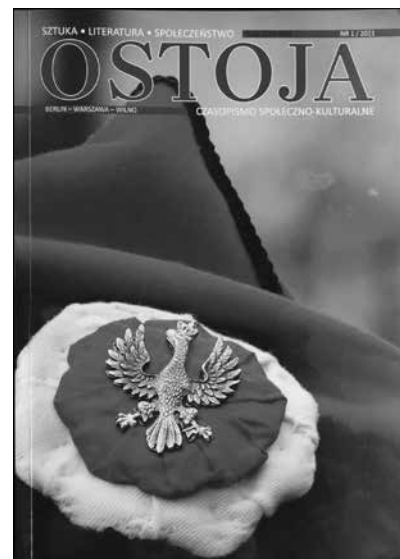
Zdzisław Szczepaniak

„OSTOJA” – nowy tytuł prasowy

Wiosną 2021 roku ukazał się pierwszy numer czasopisma społeczno-kulturalnego „Ostoja”, nr 1/2021. Nadtytuł niesie informacje: Sztuka – Literatura – Społeczeństwo; w podtytule: Berlin – Warszawa – Wilno. Wydawcą jest Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, Warszawa al. Jana Pawła II nr 70, kolegium redakcyjne stanowią: Dobrochna Bugiera, Radosław Pieniężna-Grabowska, Romuald Karaś, Jerzy Biernacki, Peter Raina. Ponieważ redaktor naczelny ks. Ireneusz Stanisław Bruski w felietonie powitalnym datowanym na 26 listopada 2020 roku nie wyjaśnia powodów umieszczenia owych trzech miast w nagłówku, można oczekiwać, że albo pojawią się kolejne miasta (Praga, Moskwa, a może Lwów?) z może zagadka i tajemnica wyjaśni się w następnym numerze. Czasopismo ma być kwartalnikiem.

Książd Bruski jest doświadczonym redaktorem i wydawcą, do niedawna wydawał w Olsztynie przez kilka lat dwumiesięcznik pt. „Bez wierszówki”, gdzie aktywny i medialnie książd był prezesem Oddziału Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Tytuł „Ostoja” nawiązuje do zawiązanej w 1916 roku w Poznaniu Spółki Wydawniczej „Ostoja”, która wydawała dwutygodnik literacko-artystyczny „Zdrój”, redagowany m.in. przez Witolda Hulewicza (1895-1941), patrona obecnego wydawnictwa i stowarzyszenia. Tamta „Ostoja” powstała z poczucia obowiązku wobec piśmiennictwa polskiego – nie tylko w Wielkopolsce, chciała ułatwić autorom polskim szeroką prasową wypowiedź, publikowała literaturę, poezję, teksty naukowe i historyczne. Obecna „Ostoja” – jak pisze redaktor naczelny – pragnie: „oprzeć się na trwałych i niezmiennych zasadach: Prawdy, Dobra i Piękna. Nie chcemy sztuki i kultury, która z tymi pojęciami w dzisiejszym świecie często niewiele już ma do czynienia”.



W pierwszym numerze jest kilka esejów historycznych w tym o Bitwie Warszawskiej 1920 roku, o Hitlerze, o Wilnie, Lwowie; w wielu różnych tekstach nawiązuje się do W. Hulewicza, przedrukowano kazanie radiowe ks. bpa Józefa Zawitkowskiego z 16 VIII 2020, są sylwetki poetów Wojciecha Piotrowicza i Konrada Sutarskiego, list Romualda Karasia do kanclerz Angeli Merkel (o wojennym Szczecznieszynie, obrońcach Westerplatte, starej niemieckiej kulturze i hitlerowskich oprawcach II wojny światowej); a także o książkach, malarstwie, balecie, „Solidarności”, holenderskich kapitanach statków, PZLPiT „Mazowsze” etc., etc.

„Ostoja” ma format 297 x 210 mm, objętość 88 stron plus okładki, druk kolorowy na papierze kredowanym 150 g/m², nakład pierwszego numeru 1.000 egz., czasopismo bezpłatne, sfinansowane ze środków własnych Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza. (Red.)

Kalejdoskopy

Miesięcznik „Kalejdoskop” ukazuje się w Łodzi z krótkimi przerwami od 1974 roku. Od dłuższego czasu wydawany jest przez Łódzki Dom Kultury, ostatnio z podtytułem: Magazyn kulturalny Łodzi i województwa łódzkiego. Jest to informator kulturalny wydawany w formie broszurowej, obecnie w formacie A5, poszerzony o publicystykę kulturalną, wywiady, recenzje etc. Obecny nakład 1400 egz., cena egz. 5 zł. Właśnie kończy się w połowie 2021 r. kilkuletni kontrakt redaktora naczelnego Łukasza Kaczyńskiego; w redakcji pracują jeszcze: Bogdan Sobieszek i Aleksandra Talaga-Nowacka, autorów zewnętrznych jest kilkunastu.

„Kalejdoskop” zawsze drukował oferty kulturalne łódzkich a później i wojewódzkich instytucji kultury, omawiano ich programy i repertuary, drukowano recenzje (tych w Łodzi brakuje od lat!), dawano dużo zdjęć. Repertuarowy periodyk w Łodzi jest bardzo potrzebny, toć to duże miasto a czasopism kulturalnych skąpo; zamiast np. 20 – ukazują się raptem dwa lub trzy. Niebawale, że władze miejskie i wojewódzkie nie są zainteresowane taką prasą.

„Kalejdoskop” ma swój status, przyznany budżet, wydawałoby się że jest stabilny, uporządkowany, powinien trwać – a też ma problemy. Ostatnie eksperymentowania z formą i treścią, zmiany formatów, grafiki (layuot), różne rodzaje papieru, wprowadzanie albo likwidacja druku barwnego w środku etc., etc. – jakby poszukiwania czegoś nie do końca chyba wiadomo czego niepotrzebnie „mieszały” czytelnikom i autorom w głowach. Numer z marca 2021 liczy 96 stron w tym 9 stron (niekompletnego) kalendarium i miał nakład 1800 egz., majowy numer – 80 stron, 7 stron kalendarium, nakł. 1400 egz. Spada nie tylko objętość ale i nakład, co dziwi przy stałej obsadzie personalnej redakcji, zagwaran-

towanym budżecie, ustabilizowanej dys- trybucji. Czemu to się nie rozwija?

W 1992 roku podjąłem próbę ratowania ówczesnego „Kalejdoskopu”, dowiedziawszy się – jako dobrze prosperujący przedsiębiorca – że tytuł jest likwidowany, że dziennikarze zwalniani są z pracy. Zatrudniłem wszystkich, umówiłem się z urzędnikami na przejęcie tytułu... jednak okazało się to pułapką, urzędnicy (znajomi!) mieli inny plan i mnie oszukali. Zostałem z grupą pracowników, bez tytułu i obiecaniej dotacji. Z konieczności uruchomiłem z tymi dziennikarzami nowy tytuł „Ten TON” (wydałem kilka numerów) a w ŁDK już bez obciążeń, bez nas..., dalej wydawano „Kalejdoskop”.

Pomyślałem teraz, że po samodziel- nym wydawaniu przez 20 lat „Kultury i Biznesu” może warto połączyć siły, przygotowywać się do przekazania młodzieży i następcom dorobku wydawniczego – i zaproponowałem dyrektorowi ŁDK (instytucja państwowa w sumie, ma budżet wydawniczy) połączenie „Kalejdoskopu” z „Kulturą i Biznesem” by np. od 2022 roku wydawać wspólnie jedno czasopismo pt. „Kalejdoskop Kultury i Biznesu”. Wydawać go w Łodzi – ale jako regionalne i ponadregionalne, jako silne czasopismo opinii, o kulturze i biznesie, sprzedawać je, „ściągać” reklamy, promować Łódź w Polsce, itd., itd. Dowiaduję się jednak od dyrektora ŁDK, że trzy instytucje chcą uruchomić „Kalejdoskop Kultury” (?), miał już być w roku ubiegłym – nie wyszło; może w tym roku wyjdzie (?), ma to być półrocznik, 500 stron jak słyszę...

W sumie, im więcej tytułów w tak wielkim ośrodku kultury jak Łódź, tym lepiej dla kultury, twórców, autorów, dla miasta i województwa.

Złożyłem jednak moją ofertę. Ciekawe czy pieniądze się znajdą; ale wokół dobra zmiana, nowy ład, wszystko ku lepszemu ponoć idzie... Czas pokaże co i komu wyjdzie.

Wojciech Stanisław Grochowalski

Nagrody im. Witolda Hulewicza AD 2020

Witold Hulewicz (1895-1941) był poetą, pisarzem i dramaturgiem, tłumaczem – głównie z języka niemieckiego ale i angielskiego oraz francuskiego, dziennikarzem, animatorem kultury, zakładał rozgłośnię Polskiego Radia w Wilnie w 1927 roku, od 1935 pracował w Polskim Radiu w Warszawie. Człowiek wybitny, wielki patriota, został zamordowany przez Niemców w Palmirach.

W 125. rocznicę urodzin Witolda Hulewicza, 26 listopada 2020 roku ogłoszono w Warszawie laureatów XXV edycji Nagród im. Witolda Hulewicza, edycja ta odbywa się pod patronatem honorowym Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, Marszałka Województwa Mazowieckiego i Marszałka Województwa Wielkopolskiego, sponsorem strategicznym XXV edycji Nagród jest KGHM Polska Miedź S.A., natomiast sponsorami indywidualnymi: MKDNIŚ, Marszałek Województwa Warszawskiego, Marszałek Województwa Wielkopolskiego oraz Anna i Piotr Voelkelowie z Poznania.

- Uchonorowano dwadzieścia wybitnych postaci świata kultury i życia społecznego:
- **dr Wanda Półtawska** z Krakowa – Wielka Nagroda Honorowa im. Witolda Hulewicza: więźniarka KL Ravensbrück, lekarka, działaczka pro-life, profesor Papieskiej Akademii Teologicznej, dama Orderu Orła Białego;
 - **prof. Andrzej Półtawski** – Wielka Nagroda Honorowa im. Witolda Hulewicza (pośmiertnie), uczestnik Powstania Warszawskiego, filozof, etyk, antropolog, nagroda – za służbę Polsce i Kościołowi;
 - **red. Romuald Karaś** (Warszawa, Serock) – Wielka Nagroda im. Witol-

da Hulewicza: reporter, literat, twórca Nagrody i współtwórca Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza – za obronę dobrego imienia majora Henryka Sucharskiego, bohaterskiego dowódcy Westerplatte.

- **Andrzej Bartkowski i Andrzej Hulewicz** (Ożarów Mazowiecki) – Nagroda Honorowa 2020 za działalność na rzecz polskiej kultury: mecenas sztuki, fundatorzy rzeźby „Tancerka” przy Teatrze Wielkim-Operze Narodowej, twórcy Forum Humanum Mazurkas czyli cyklu wydarzeń kulturalno-artystycznych w Ożarowie Mazowieckim.
- **dr Peter Raina** (Berlin) – Grand Prix Nagrody im. Witolda Hulewicza za rok 2020: historyk, nagroda w roku 85-lecia urodzin i 50-lecia pracy naukowej, za twórczość historyczną poświęconą Polsce.

Nagrody im. Witolda Hulewicza 2020 otrzymali:

- **Alina Czerniakowska** (Warszawa), publicystka i reżyser – za filmy dokumentalne o tematyce związanej z najnowszą historią Polski;
- **Paweł Domański** (Żabno), autor książki i licznych publikacji o Żabnie – za godny naśladowania przykład umiłowania ziemi rodzinnej;

czterotomowe dzieło pod skromnym tytułem *Polski wkład w przyrodznawstwo i technikę*;

- **Małgorzata Todd** (Warszawa), dziennikarka, pisarka fantastyki naukowej – za twórczość publicystyczną nie ulegającą poprawności politycznej;
- **dr Jarosław Tuliszka** (Dobra k. Dębnicy Kaszubskiej), oficer Policji, historyk zainteresowany dziejami walk na Pomorzu – za publikacje o Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Wolnym Mieście Gdańsku;
- **Wiesław Turzański** (Warszawa), harcmistrz Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej i członek Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza – za działalność na rzecz Kresów;
- **dr Tadeusz Zdunkiewicz** (Gdańsk), lekarz weterynarii, przyjaciel czworonogów – za obronę dobrego imienia majora Henryka Sucharskiego i żołnierzy Westerplatte;
- **dr Maria Żychnowska** (Tarnów), działaczka katolicka – za opisanie dziejów harcerstwa Ziemi Tarnowskiej.

Wręczenie Nagród, w związku z zaistniałą sytuacją epidemiologiczną, zaplanowano na 4 czerwca 2021 roku w Domu Literatury w Warszawie, godz. 17. *Red.*



10. rocznica śmierci Jerzego Narbutta

30 maja 2011 zmarł Jerzy Narbutt, prozaik, poeta, autor tekstu hymnu Solidarności (z muzyką skomponowaną przez jego przyjaciela, Stanisława Markowskiego), zaczynającego się od słów *Solidarni, nasz jest ten dzień*, publicysta, myśliciel i wyśmienity eseista, autor 19 książek, w tym jednego tomiku poetyckiego pt. *Trochę wierszy*. W 1989 roku zarzucił pisanie prozy artystycznej (wydał kilka tomów opowiadań i jedną powieść pt. *Ostatnia twarz portretu*, w której sportretował pokolenie Polaków walczących o niepodległość Ojczyzny z dwoma totalitaryzmami), uważał bowiem za swój obowiązek wzięcie udziału w narodowym dyskursie społeczno-polityczno-moralnym.

W swoim trudnym życiu, pełnym prawdziwego głodu i biedy, w okresie PRL, stworzył własny, osobisty front odmowy wobec narzuconego ustroju i władzy, opóźnił swój debiut literacki o kilka lat, w okresie stalinowskim ukrywał się, zagrożony wzięciem do wojska, gdyż mimo trapiących go licznych chorób od dzieciństwa, został uznany za zdolnego do służby. Skończyło się to kilkumiesięcznym więzieniem. Publikował tylko w prasie katolickiej (nie w paxowskiej!), a potem – w podziemnej, gdy otrzymał zakaz druku. Był nowatorski w nowelistyce artystycznej, a w publicystyce zyskał przydomek strażnika ładu moralnego.

Wytrwali czytelnicy „Kultury i Biznesu” mogą pamiętać mój szkic o Narbutcie z 2005 roku pt. *Wielki Zamilczany*, tytuł ten

oddaje precyzyjnie jego sytuację, za życia i po śmierci.

Cenili go, jego postawę i twórczość (i cenią nadal) tylko nieliczni ludzie wybitni, patrioci, admiratorzy postaci niezłomnych, do których należał. Znalazło to wyraz podczas jego pogrzebu. Mszę św. żałobną odprawiał jego przyjaciel, ks. bp. Antoni Pacyfik Dydycz, który wygłosił kazanie w formie pięknego eseju literackiego, analizującego jego twórczość i postawę moralną. Nad grobem na cmentarzu katolickim dwa wiersze Narbutta recytował z pamięci śp. Kornel Morawiecki, śp. Janusz Krasiński, wówczas prezes SPP, opowiedział o próbach zaradzenia biedzie, w jakiej żył autor *Tęsknoty za Wenecją*, o „bracie Jerzym” ukrywającym się przed internowaniem w stanie wojennym w klasztorze w Lubartowie mówił interesująco ojciec kapucyn, którego nazwiska nie pomnę, Waldemar Łysiak, Kornel Morawiecki i niżej podpisany wypowiadali się o pisarzu dla TV TRWAM, która jako jedyna przeprowadziła transmisję z tego pogrzebu (6 czerwca 2011 roku) i przytoczyła nasze wypowiedzi w wieczornych „Wiadomościach dnia”.

Przypominając pisarza gdzie indziej, zapytałem na koniec: czy Jerzy Narbutt powróci, we wznowieniach swoich książek, w zbiorach jego rozproszonej dotąd eseistyki filozoficznej, w opracowaniach o nim i jego twórczości? Oto jest pytanie.

Jerzy Biernacki

Bestsellery czytelnicze

Ranking sprzedaży książek w Księgarni Medycznej ‘Rema’,
Łódź ul. Piotrkowska 102 A

1. Natalia de Barbaro, *Czuła przewodniczka. Kobieca droga do siebie*, Agora, 2021;
2. Bernard Newman, *Rowerem przez II RP. Niezwykła podróż po kraju, którego już nie ma*, Znak Horyzont, 2021;
3. Tove Jansson, *Muminki zebrane. Tom I i Tom II*, Nasza Księgarnia, 2021;
4. Zofia Turowska, *Osiecka. Nikomu nie żal pięknych kobiet*, Marginesy, 2020;
5. Wojciech Górecki, Bartosz Józefiak, Łódź. Miasto po przejściach, Czarne, 2020;
6. Sławomir Koper, *Zachłanne na życie*, Harde, 2020;
7. Christel Petitcollin, *Jak mniej myśleć. Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych*, Feeria, 2019;
8. Zofia Turowska, *Gustaw. Opowieść o Holoubku*, Marginesy, 2021;
9. Adam Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, W.A.B., 2020;
10. Remigiusz Piotrowski, *Ślepy Maks. Historia łódzkiego Ala Capone*, PWN, 2016.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Serdecznie dziękuję za przesłany egzemplarz Pana znakomitej Gazety, tak bardzo polskiej i patriotycznej. Cieszę się bardzo, że na łamach takiego właśnie pisma zamieszczony został tekst mojego zmarłego męża [Stanisława Dybowskiego – Red.]. Raz jeszcze dziękuję. Zastanawiam się cały czas, jak Pan radzi sobie z wydawnictwem w tak trudnych dla polskiej kultury czasach. W tych nieciekawych czasach, kiedy to kultura została sprowadzona, że użyję tu określenia, „do parteru”.

Życzę moc zdrowia, cierpliwości i siły w walce z tym groźnym dla nas wszystkim wirusem. Wierzmy w to, że zły czas musi kiedyś minąć. Przesyłam Panu wiele serdeczności
Małgorzata Dybowska

Panie Wojciechu

Dziękuję bardzo za przesłanie mi tak niezwykle ciekawych tekstów dotyczących naszej kultury, Pana aktywności w promowaniu i podtrzymywaniu w pamięci społeczeństwa wybitnych twórców, wykonawców i niezwykle bogate środowisko artystyczne wokół Pana. Jestem przekonana, że życie artystyczne ŁÓDZI, miasta, które zauroczyło mnie wielokrotnie, w dużym stopniu zawdzięcza Panu swoją reputację. Podziwiam jak w tym trudnym scenariuszu i dziwacznych układach potrafi Pan podolać, nie tracąc energii, kontynuując projekty tak ważne dla KULTURY POLSKIEJ. Wzruszył mnie artykuł o Stasiu Dybowskim [nr 70/2019 – WG] który zasłużył na pamięć środowiska muzyków za niezwykle aktywność, wiedzę, miłość dla muzyki. Wszystko przeczytałam i zadziwia mnie brak wsparcia dla pięknych projektów muzycznych okalających RUBINSTEINA, dziwny jest ten świat? Mam nadzieję, że kiedyś ponownie się spotkamy, będzie mi miło tym bardziej, że jestem nadal aktywnym muzykiem i działaczem w kulturze nie tylko naszego kraju. Najlepsze życzenia na Święta i a nuż lepszego ROKU 2021.
Ewa Osińska

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi • There's no business like show business — jak mówią Amerykanie



Stara Łódź, drzwi w bramie



Nowa Łódź, Brama Miasta, w tle widoczne EC1

Giętki język

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędkie,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystka ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

To fragment z Juliusza Słowackiego, *Beniowski. Pieśń 5*. Czasami zastanawiam się, czy mam dalej darzyć czytelników moimi próbami poetyckimi. Oto kolejna próba, wiersz napisany w grudniu 2020 i uzupełniony (rozwinęty) po tzw. aferze Obajtki:

Potęga Wieniawy

Każdy władca dzisiejszy – jak czasu dawnego,
Musi mieć przy sobie kogoś bardzo bliskiego;
Przy Piłsudskim był takim Wieniawa kochany,
Wciąż do obu wdychają i panie, i pany.

Ten wybitny poeta, żołnierz, dyplomata,
Bronił szefa swą piersią – jak się broni brata;
Bo prawdziwy przyjaciel – nie żadna gadzina,
Zrobi więcej dla ciebie, nawet niż rodzina.

Taki wierny kompan jest na całe życie,
Zrobi o co poprosisz: godnie, należycie;
Więcej niż partyja we wszystkim pomaga,
Partię można zmienić – toć to nie powaga.

Zatem aktor, poeta, czy też inna sława,
Chcieli pobyc choć chwilę tam – gdzie był
Wieniawa;

Drzwi się przed nim na oścież każde otwierały,
Nie dla siebie doń pukał, dla Ojczyzny chwały!

Gdy był kryzys, wrogowie na nas nastawali,
Wszyscy wzrok na Marszałka zaraz kierowali.
I słyszało się wtedy – nie tylko z Warszawy:

Że Ziuk nie sam, że przy nim potęga Wieniawy!
Co Marszałek pomyślał – Wieniawa już wiedział,
Nawet gdy ten zaszalał – Szef nic nie powiedział;
Rozumieli obydwaj, co ważne dla sprawy:
Wielkość Polski, majestat – nie koniak czy
(z przeproszeniem) baby.

Generała słuchano, znał on etykietę,
Umiał pożartować, zabawić kobietę:
Po polsku, po angielsku, po włosku czy rusku –
Nade wszystko uwielbiał bawić po francusku.

Mówili nam Franki: „Jak Lassale cesarza,
Taki wasz Wieniawa, raz na wiek się zdarza”!
A w Stanach: „Prezydent MacArthur

em silniejszy,
on jak polski Wieniawa – a może i mniejszy”.

Wiecie czemu Kaczyński jest taki słabawy?
Bo brakuje mu właśnie, takiego Wieniawy!
I jak tak popatrzyć – każdy mi to przyzna,
Ci przy Jarku skupieni – każdy z nich to Dyżma.

Wojciech St. Grochowski, 2021 ©

Koronawirus nie odpuszcza!

Jak obejść zakazy rządowe...

to kilka metod jak omijano covidowe zakazy rządowe, lockdown i obostrzenia koronawirusowe. Opanowali je perfect zwłaszcza właściciele pensjonatów i hoteli w górach. Taki np. pensjonat dla 25 osób, z wyżywieniem, atrakcjami narciarskimi w pobliżu mógł przeżyć trudny czas a nie liczyć na jałmużnę rządu. A i goście mogą normalnie żyć, a nie jak by chciała władza, siedzieć w domach i umierać. Oto metody z Podhala, jak przeżyć, hej!

I metoda – na sport, gdy przyjechała do pensjonatu duża grupa, zgłaszano ich jako grupę sportowców trenujących i przygotowujących się do „Biegu Piastów”. Nad morzem były to zawody (turniej) szachowe na 250 osób (tytuł szachistów, ilu gości mieścił ów „szachowy” hotel). Sportowcy byli zwolnieni z obostrzeń, podobno, bardziej odporni;

II metoda na mechanika – zjawia się np. pięćoosobowa rodzina w górach, żeby dudki zarobić szło się z takimi cepami do znajomego mechanika po kwit, że zepsuty samochód, że może naprawić dopiero za dwa tygodnie. – „A dyc jest tu panocku na brzysku hyrny pensjonat u gazdziny, niedrogo izba, przechowo was panocku z babom i gowidziom te dwa tygodni”...

III metoda na podział rodzinny – właściciele pensjonatu „pisali” interczy i: mąż przyjmował swoich gości na parterze (można np. na Święta BN przyjąć było pięć osób z najbliższej rodziny), żona w piwnicy kolejne pięć, córka na piętrze I a syn na II piętrze po pięciuro, gdy było poddasze można było i tam „ustawić” parę łóżek dla rodziny i na wnuka przyjąć kolejne pięć osób. Razem mamy 5 x 5 = 25 gości rodziny, x 200 zł/dobę = 5.000 x 10 dni = 50.000 zł;

IV metoda na stodołę – samochód albo dwa samochody gości trzeba schować do stodoły żeby nie stały na parkingu. Goście mają wychodzić o świcie a wracać o zmroku – żeby nie kuć w oczy sąsiada – co to nie ma stodoły. Gdyby wpadła kontrola za dnia – nikogo nie ma, trzeba się zaprzeć że zepsute samochody ktoś zostawił już dawno;

V metoda na „Krystynę” – ale to dla sędziów (także Trybunału Konstytucyjnego), ministrów i in. rządowych VIP-ów. Otóż wybiera się super hotel, sanatorium, uzdrowisko, może być nawet jeszcze oficjalnie nieczynne, bierze się skierowanie od lekarza – to żaden problem – że jesteśmy chorzy i musimy się podleczyć i jazda w góry! Tam znajoma pani właścicielka bierze skierowanie, daje (sprzedaje) nam pokój jako choremu, karnet na basen, spa, masaż, bony do baru, obiady, kolacje etc. i rozpoczynamy leczenie, rząd płaci;

VI metoda na „rekrutację” – rozpowszechniona w warszawskim podziemiu restauracyjnym. Gdy już zdobędziemy tel. (bo tylko tel. można zamówić stolik) do „podziemnej restauracji”, umówią nas na obiad czy kolację na konkretny dzień i godzinę – np. za miesiąc. Wchodząc trzeba wypisać ankietę, że przyszliśmy na rekrutację do pracy, czekając na szefa prosimy kelnerkę o podanie czegoś, zamawiamy, jemy, płacimy tylko gotówką (!), i po braku zainteresowania przez szefa naszą ofertą wychodzimy.

Na wiosnę właściciele ww. restauracji, hoteli etc. liczą dudki po zimie: te z dotacji rządowej i te od gości.

Zima jak za dawnych dobrych lat

Gdy wreszcie w styczniu 2021 przyleciał nagle i jakby z zaskoczenia po kilku latach śnieg, nie omieszkala odnotować tego faktu telewizja (TVP). Jest ona niesłusznie oskarżana przez opozycję wobec rządzącego PiS, że pod dzielnym zarządem ministra propagandy p. Jacka, TVP jest tubą propagandową PiS. Nic podobnego!

Gdy zrobiło się białe i pięknie na świecie, reporterzy TVP ruszyli w teren prosząc napotkanych przypadkowo przechodniów o komentarz. Pan Marian, emeryt z Radomia: – Nareszcie mamy piękną zimę, piękny śnieg, dzieci mają ferie i cieszą się, należy im się! Takich zim nie było za rządów PO i PS!

Pani Marianna, emerytowana pracownica urzędu gminy w Pcimiu: – Tak pięknej zimy nie pamiętam od czasu okupacji. Dziękować rządzącej partii i panu Jarkowi bo widocznie Pan Bóg nagroził ich za to co robią, wysłuchał modlitw transmitowanych w TVP. Noooo, wreszcie przyleciał i do Polaków śnieżek.

Pan Anzelm z Dybówki k. Rzeszowa: – I co? I co powiecie wy lewacy? Jest pięknie na świecie, za was tak było tylko raz, w stanie wojennym.

PS. Ciekawe, czy coś mówili emeryci po tym, gdy ten śnieg szybko stopniał. Przestałem oglądać.

Nie sikać!

Na prawym zdjęciu nowa Łódź, tzw. Brama Miasta, Nowe Centrum Łodzi, biurowce przy ul. Kilińskiego, przy opisywanym wewnątrz gazety nowym EC1. Na lewym zdjęciu stara Łódź, kamienica przy Kilińskiego 75, vis-à-vis tych biurowców. Na starych drzwiach napis: Nie sikać tu! Sugerując jakby, żeby nie w samej bramie, nie przy drzwiach... Kontrast obu miejsc duży, ale nie o to tu chodzi, sądząc z prośby, ruch tu też duży... No ale toalet w pobliżu brak, biurowce zamknięte, Dworzec Fabryczny za daleko.

Ksiądz Józef Tischner też pisał w filozofii po góralsku, że góral nie zdradzi żony! – chyba że musi!

Wieści z kosmosu

Wpoczątku 2021 najwięcej głosów do wysłania w kosmos do polskiej kolonii karnej otrzymał prezes zarządu TVP SA p. Jacek Kurski. Ale dostał wyjątkowo przywilej od szefa, że może zabrać kogoś ze sobą; poprosił o Zenka.

Z tym przywilejem wiąże się stara ciekawa sprawa. Otóż błazen pewnego króla – chyba we Francji – obraził królową... widać można być obrażonym przez błazna. Królowa wymogła na królu, by stracić błazna! Natychmiast! Król, który lubił żarty owego błazna, przy ogłaszaniu mu decyzji o jego straceniu, wyjątkowo dał mu przywilej, że może wybrać sobie rodzaj śmierci. Błazen odrzekł:

– Wasza Wysokość, wybieram śmierć ze starości.

I tak się stało.

Sztambuch Modrzejewskiej

W zbiorach Uniwersytetu Łódzkiego jest sztambuch aktorki. Ot taki zwykły zeszyt, jaki wielu z nas zakładało albo i nadal zakłada, rodzaj pamiętnika, daje się przyjaciółom do wpisywania, wklejania zdjęć, etc. Aktorka ten „Album autografów” – tak jest on nazwany – zaczęła krótkim wpisem i przekazała wnuczce, aby ta go kontynuowała. Wpisywali się do sztambucha i rysowali (prowadzony długo jeszcze po śmierci pani Heleny) m.in. Władysław Żeleński czy Julian Fałat.

A ów początkowy i pierwszy wpis aktorki to:

– W małżeństwie potrzebne są: cztery ręce, dwa serca i jedna głowa.

Maestra nie wyjaśniła jednak i nie zasugerowała, o czyją głowę chodzi.

Stan wojenny

W tym roku (2021) będziemy obchodzić 40. Rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, tego w 1981 roku. Znalazłem na facebooku taki oto wpis znajomego (p. Ławrynowicz): 13 grudnia 1981 mama smażyła placki ziemniaczane. Podeszedłem do okna i zobaczyłem czołg.

– Mamo, mamo! - zawołałem - przed domem stoi czołg!

– A co ja czołgu nie widziałam? - powiedziała mama i nadal spokojnie tkwiła nad patelnią.

Rzeczywiście widziałam w życiu wiele czołgów: polskie, litewskie, rosyjskie, niemieckie, znów rosyjskie. Ale wtedy jej spokój mnie zaskoczył. Dziś lepiej ją rozumiem.

Oprac. strony satyrycznej
Wojciech Stanisław Grochowski ©2021



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.

Magazyn KULTURA i BIZNES, wydawca: Fundacja Kultury i Biznesu, 90-007 Łódź, ul. Piotrkowska 112, tel. 42 632 79 39, e-mail: redakcja@kulturaibiznes.pl, www.kulturaibiznes.pl Redaktor naczelny: Wojciech Stanisław Grochowski. Skład i łamanie: Studio Graficzne Agaty Sobiepańskiej. Projekt: Wojciech St. Grochowski. Konto bankowe: PKO SA II O/Łódź 511 24030281111000028241548. Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. ©Wszelkie prawa zastrzeżone. Nakład 7.000 egz. „Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury”

Pola Negri

POLSKA GWIAZDA FILMOWA



Pola Negri, kadr z filmu „Fanatyzm”, 1934. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Prezentujemy drugi dodatek specjalny czasopisma „Kultura i Biznes” – pierwszy zamieściliśmy przy numerze 23/2005 i dotyczył papieża Polaka, Św. Jana Pawła II.

W tym numerze aktorka Pola Negri (1896-1987), gwiazda kina niemego, pierwsza europejska gwiazda Hollywood, jedyna Polka, która zdobyła światową karierę filmową. Należała do tych wybitnych Polek I poł. XX wieku, które były polskimi patriotkami, związały się podczas kariery artystycznej także z emigracją polską.

Pola Negri

POLSKA GWIAZDA FILMOWA

Pola Negri (1896–1987) zdobyła na początku XX wieku pozycję największej aktorki kina niemego. Była pierwszą Europejką i jak dotąd jedyną Polką, która podbiła Hollywood. W okresie kina niemego jej kariera w Europie, Ameryce i na świecie sięgnęła szczytów. Dziś powoli następuje w Polsce renesans Poli Negri, autentycznej i profesjonalnej artystki, prawdziwej gwiazdy światowego formatu.

Rodowód Poli

Niekwestionowana gwiazda kina podawała różne daty i miejsce urodzenia, nazwisko rodowe własne i matki.

Otóż właściwe dane Poli Negri to: Apolonia Chalupiec, urodzona 22 grudnia 1896 roku – data według obowiązującego wtedy kalendarza juliańskiego zapisana w akcie urodzenia i chrztu sporządzonym w Lipnie w kościele parafialnym. Akt spisano czytelnie, cyrylicą i dopisano obok/poniżej – jak prawo nakazywało – drugą datę według kalendarza gregoriańskiego tj. 3 stycznia 1897 roku. Dziecko zgłosiła 31 grudnia 1896 roku – i podawała dane urodzenia – jej babka Apolonia Chalupiec ze świadkami. Powiatowe miasto Lipno leży w ziemi dobrzyńskiej, nieopodal Włocławka nad Wisłą, wtedy było w zaborze rosyjskim. W dorosłym życiu odejmowała sobie lat; funkcjonuje w publikacjach kilka dat jej urodzenia, np. w amerykańskiej encyklopedii *The Film Encyclopedia* Ephraima Katza (Nowy Jork, 1982 r.) napisano, że: Barbara Eleonora Chalupiec urodziła się 31 grudnia 1894 roku w Janowie pod Lipnem – to miejsce urodzenia podawała czasami Pola w różnych opowieściach. W swoich wspomnieniach (w których jest mnóstwo nieścisłości) pt. *Pamiętnik gwiazdy*, wyd. polskie 1976, w tłumaczeniu Tadeusza Everta z posłowiem Jacka Fuksiewicza, aktorka podaje jako datę urodzenia 31 grudnia 1899 roku, zaś wielu jej biografów i publicystów 3 stycznia 1897 roku – przepisując jeden po drugim. USC wydawał nieprecyzyjne i błędne skrócone akty urodzenia, raz z datą 3 stycznia 1896 a innym razem 3 stycznia 1897. W dokumentach występuje tylko jedno imię: Apolonia.

Matka aktorki, Eleonora, zapisana w ww. akcie urodzin i chrztu jako Kęlczevska, później pojawia się jako Kiełczewska (1861–1954). Pochodziła z Brdowa k. Koła (Kujawy). W *Słowniku Biograficznym Ziemi Dobrzyńskiej* (wyd. 1992) prof. Mirosław Krajewski napisał, że jej matka Eleonora Kiełczewska (sic!) była córką wieśniaka spod Lipna. Pisownia nazwiska jako Kęlczevska figuruje w odpisach aktu urodzenia z USC, a także na akcie ślubu z hr. Dąbskim w 1919 roku, który Apolonia podpisała.

Pola miała dwie siostry, które zmarły w wieku dziecięcym.

Ojcem Poli był słowacki Rom Jerzy Chalupiec (1871-1920), 10 lat młodszy od Eleonory. Wspomniana encyklopedia podaje, że ojciec Poli był skrzypkiem cygańskim, inne źródła, że był wędrownym kotlarzem/blacharzem. W „Ziemi Dobrzyńskiej” nr 1/15 z 1997 roku, Zenon Gózdź pisał o dziele Chalupca: „Dziś na wieży ratuszowej [w Lipnie] chyboce kołysany wiatrem mały blaszany kogucik, a raczej fantastyczne jego przetworzenie (...) Blaszana figurka świadczy o dużej wyobraźni jego twórcy – blacharza, o duszy nie zrealizowanego artysty”. Pola wspominała w książce, że ojca uwięziono w Warszawie dlatego matka przeprowadziła się z nią do stolicy; prawdopodobnie w 1903 roku. W Lipnie starzy ludzie powtarzali jeszcze nie tak dawno, że ojciec Poli często był więziony za wykroczenia i przestępstwa, był na bakier z prawem, przemycał towary przez granicę, fałszował pieniądze itd. Pola idealizowała go, broniła – miły gest córki. Przeprowadzka ich wynikała z zaproszenia przez pewne małżeństwo; nazwała ich w książce Kosińskimi. Otóż państwo ci zobaczyli ją jako dziewczynkę tańczącą na rynku w Lipnie, urzekł ich ogromny talent dziecka i zaproponowali matce pracę w ich domu w stolicy, mieszka-

nie, pomoc w kształceniu córki. Pola dostała szansę na rozwój swoich talentów scenicznych, których nie zmarnowała!

Nazwisko ojca pisano też Chałupec, córka szła dalej i pisała Chałupiec. Na afiszu do baletu w 1910 roku nazwisko Poli wydrukowano jako Hałupiec, zaś ona adresowała własnoręcznie kartki wysyłane z Berlina do matki w Warszawie na: Eleonora Halupiec, ul. Trębacka 5. Nazwisko Poli jako Apolonia Chałupec występuje w akcie urodzenia/chrztu i odpisach USC; na tablicy pamiątkowej dla matki w kościele w Los Angeles napisała Eleonora Chałupec, zaś na „swojej” nagrobnej w Los Angeles poleciła napisać: Pola Negri nee Apolonia Chalupiec.

Wakacje spędzała m.in. w Brdowie na Kujawach, u rodziny matki, wspomniała w książce te pobyty; m.in. 29 grudnia 1915 roku podawała tu do chrztu dziecko krewnych. Dziś dyrektor szkoły w Brdowie pan Dariusz Racinowski jest strażnikiem pamięci i źródłem wiedzy o Poli i rodzinie matki.

Aktorka była dobrą córką, opiekowała się matką przez całe życie i bardzo zmieniała jej wizerunek, ukrywając chłopskie pochodzenie. Zabrała matkę do swoich posiadłości do Francji a po wojnie w 1948 roku do Ameryki; Eleonora zmarła w Santa Monica, została pochowana niemal z honorami na cmentarzu w Los Angeles.

Narodziny gwiazdy

W Warszawie jako tancerka zadebiutowała na scenie Teatru Wielkiego w *Jeziorze łabędzim* Piotra Czajkowskiego w 1908 roku, w spektaklu z udziałem słynnej i wielkiej Tamary Karsawiny, primabaleriny Teatru Maryjskiego w Petersburgu. Pola była jedną z łabędziatek. Balet był pierwszym etapem na drodze do kariery artystycznej, w rozwoju której pomógł jej słynny Kazimierz Hulewicz – wtedy wiceprezes Warszawskich Teatrów Rządowych. Pola pisała, że koleżanki ze szkoły baletowej przy Teatrze Wielkim mówiły, że był kochankiem Sary Bernhardt... Hulewicz był człowiekiem ustosunkowanym w Europie, bardzo pomógł Poli i był jej przyjacielem, żył jej karierą, bardzo chciał aby jej się udało.

Pola kształciła się w szkole baletowej przy Teatrze Wielkim (balet) i Szkole Aplikacyjnej przy Warszawskich Teatrach Rządowych (aktorstwo, śpiew). Była piękna – choć nie ołsniewajaco, miała wdzięk, przyciągała i przykuwała uwagę widowni tak męskiej jak i żeńskiej. Miała wyobraźnię, osobowość, styl kobiety wampa tak wtedy lansowany i pożądanym. Była kobietą pociągającą, o ładnych brązowych oczach płonących jak pochodnie, czarnych włosach, śniadej cerze, egzotycznej urodzie, niskiego wzrostu, proporcjonalnie zbudowana. Miała „impulsywność żywiołowego talentu”, wspaniała mimikę. Miała dużo wdzięku i uroku, *sex-appeal*, głos z lekką chrypką (naturalny kontralt, rzadko spotykany), ktoś napisał że ochryply, wreszcie była bardzo fotogeniczna. Poza tym bardzo pracowita, odważna, ambitna, konsekwentna, do końca życia dbała o kondycję i sylwetkę. Pola mówiła, że wytworzyła swój oryginalny styl.

Jej debiut teatralny miał miejsce w Warszawie w 1912 roku. Zagrała Anielę w Ślubach panińskich Aleksandra hr. Fredry w Teatrze Małym; nosiła już wtedy pseudonim artystyczny Pola Negri, zaczerpnięty jak się powtarza od włoskiej poetki Ady Negri. Recenzent sztuki w czasopiśmie „Świat” nr 36 z 7 września 1912 roku w artykule pt. *Uroczą de-*

biutantka, dał jej zdjęcie i pisał m.in. o jej prostocie i szczerości, przepowiadał szczęśliwą przyszłość: „Rzadko się zdarza, aby młoda, wstępująca na scenę aspirantka była równie bogato uposażona od natury. Wytrwała praca winna powieść ją na drogę prawdziwych artystycznych zwycięstw”. Jeszcze à propos jej wieku, tekst ten świadczy, że Pola miała wówczas dużo więcej lat (16 według metryki), bo trzynastoletnie dziecko – gdyby trzymać się jej kalendarza – nie udźwignęłoby tak dużej roli, a żaden reżyser czy dyrektor teatru nie pozwoliłby na taki angaż dla dziecka.

W 1914 roku nakręciła pierwszy film – *Niewolnica zmysłów* w wytwórni „Sfinks”, z którą podpisała długoletni kontrakt i jako nastolatka zaczęła zarabiać nieźle pieniędze. Film reżyserował Jan Pawłowski, scenariusz napisał dla niej jej „opiekun” Kazimierz Hulewicz. Grała też w teatrze m.in. Jadwisę w *Dzikiej kaczce* Henrika Ibsena w tym samym roku, zaś w 1915 dała świetny popis aktorstwa i tańca w Teatrze Wielkim, w operze *Niema z Portici* Daniela F.E. Aubera. Wystąpiła tu w bardzo trudnej roli Fenelli, ta niema bohaterka jest postacią dramatyczną, która dużo tańczy, gra mimiką twarzy, gestykulacją. W filmie *Bestia* w reż. Aleksandra Hertza (1917) gra dziewczynę uwikłaną w trójkąt miłosny, ucieka z prowincji do miasta, robi karierę tancerki, romansuje z bogatym mężczyzną. Gra bardzo emocjonalnie, żywiołowo, jest jak zawsze uwodzicielska. Ale gra też siebie, co widać i na planie – w jej pokoju po sukcesach scenicznych zawieszono wieniec kwiatów z taśmą z jej nazwiskiem.

Z Lucyną Messal, Ireną Szyling, Leną Żelichowską, Zulą Pogorzelską stanowiły wówczas kwiat warszawskich młodych aktorek. Występowały i w modnych warszawskich varietàs, kabaretach, rewiach; Pola jeździła też z występami po kraju. Grała u boku Juliusza Osterwy zatem uczyła się sztuki aktorskiej od mistrza, dla którego służebność sztuki była najważniejsza.

W Warszawie pracowała m.in. z Ryszardem Ordyńskim (wł. Dawid Blumenfeld), który później jako asystent słynnego reżysera i dyrektora Deutsches Theater Maxa Reinhardta w Berlinie, zaprosił Polę do „ich” berlińskiego teatru. Zdecydowała się wyjechać do Berlina, dokąd pierwszy raz przybyła w 1917 roku. Zaczęła grać w teatrze (pantomimę, m.in. *Sumurun*), filmach, pracować dla słynnej wytwórni filmowej Union Film Alliance (UFA). Film *Oczy mumii Ma* w reżyserii Ernsta Lubitscha (1918) okazał się wielkim sukcesem. Z reżyserem tym będzie pracować dalej, później także w Ameryce. W Berlinie nakręciła jeszcze z nim słynne filmy: *Carmen* (1918), *Madame Dubarry* (1919), *Sumurun* (1920) i *Dziką kotkę* (1921). W 1922 roku wyjechała do Ameryki, w Hollywood pracowała dla Paramount Pictures, została gwiazdą tej wytwórni, Ameryki i świata.

Gwiazda to wybitna autentyczna indywidualność, to więcej niż świetny światowej klasy artysta; dziś w zaniku, media i władze kreują i lansują propagandowo tzw. celebrytów – to zaprzeczenie gwiazdy i wszelkiego artystyzmu. Pola była gwiazdą kina do końca życia.

George Bernard Shaw powiedział o niej w 1928 roku: „Najgenialniejsza kobieta filmu!” zaś Leopold Brodziński w 1929 roku w magazynie „Rewja Filmowa” pisał: „Ani przed nią, ani po niej nie dała żadna aktorka ekranu takiej kwintesencji cierpiącej duszy kobiecej”.

Królowa Hollywood

Kariera i gwiazda Poli rozbiły się w Berlinie na początku lat 20. przy boku reżysera Ernsta Lubitscha, który mówił o niej:

– „Jest tak pełna życia i magnetycznego uroku, że nie spotkałem w życiu nikogo, kto by jej dorównał. Wielką wrażliwość artystyczną łączy ze wspaniałymi warunkami fizycznymi.

To ona wniosła do Hollywood ów <cudzoziemski temperament>, który moim zdaniem polega na szczególnym darze przykuwania do siebie uwagi zarówno na ekranie, jak i w życiu: posiada go ona w najwyższym stopniu. Jest kobietą i aktorką pełnego wewnętrznego ognia, a zarazem odznacza się dużą klasą”.

Robiła szaloną karierę w Niemczech i Europie, filmy z jej udziałem cieszyły się ogromną popularnością i za oceanem. Została zaproszona do Hollywood, gdzie dotarła jesienią 1922 roku. Pola mogła zagrać niemal każdą rolę, ale o ile kino niemieckie ją ukształtowało, to Hollywood zepsuło i ograniczało jej możliwości rozwoju. Jej nazwisko jako gwiazdy pojawiało się na ekranie jako pierwsze, przed tytułem, przed reżyserem, gaże gwiazd przekraczały w owym czasie o wiele pozostały budżet produkcyjny filmu. W Hollywood otrzymała wieloletni kontrakt z Paramount Pictures i gażę 500 tys. dolarów rocznie; słynnej Mary Pickford wytwórnia płaciła 100 tys. dolarów. Nakręciła tu m.in. w 1924 roku wybitny film z Lubitschem pt. *Cesarzowa*, zwany też *Zakazanym rajem* – tytuł ang. *Forbidden Paradise*, trwa 76 minut, zagrała Katarzynę Wielką, partnerował jej Rod La Rocque. W tej roli i filmie mogła wreszcie pokazać Ameryce swój kunszt; była władca, arystokratyczna, namiętna – jak caryca Katarzyna, ale przy tym naturalna, prawdziwa i przekonująca jako aktorka.

Obsadzano ją w rolach: królowej, matki, czarodziejki, śpiewaczki operowej, kurtyzany, prostytutki, prostej dziewczyny, robotnicy, Cyganki, Żydówki, kokietki, namiętnej kochanki itd. „Kreowała role kobiet demonicznych i drapieżnych, tajemniczych i intrygujących, kobiet-wampów, których urokowi nie potrafi się oprzeć żaden mężczyzna. Grała emocjonalnie i z pasją, namiętными spojrzemianami i zmysłowym tańcem elektryzowała widzów” – pisze M. Szydłowska w *Między Broadwayem a Hollywood*. Poza pochlebnymi opiniami były i krytyczne, np. że „brak w jej grze kultury i wewnętrznej podniety”, że „nie władała środkami najwyższej subtelności”, itd., itd. Trzeba jednak analizować tu konkretne filmy, reżyserów, wytwórnie; na ile pozwalano jej grać swoimi „środkami” a na ile (i kiedy) wymagano od niej stosowanie obcych jej „środków” wyrazu – nawet blokując ją i ograniczając jej możliwości.

Temperament, zmysłowość, przykuwanie uwagi trwały wiele lat. Uwielbiali ją i jej talent także Albert Einstein, George B. Shaw, Fiodor Szalapin, Walt Disney, bywali u niej we francuskich posiadłościach Maria M. Krzesińska, Pablo Picasso, Maurice Ravel; w Ameryce gościła gen. Józefa Hallera, z którym także korespondowała.

W Ameryce okrzyknięto ją „królową Hollywood”. Była tu pierwszą europejską gwiazdą, po niej przyszły Marlena Dietrich i Greta Garbo. Istnieje 70 filmów z udziałem Poli Negri, z czego 33 zostały zrealizowane w Niemczech, 24 w Ameryce (głównie dla Paramount Pictures), 10 w Polsce, po jednym w Anglii, Francji i Rosji; 20 z nich to filmy dźwiękowe. Ich pełną szczegółową listę, z przepisanyimi czołówkami, zamieszczono w katalogach wystawy w Muzeum Kinematografii w Łodzi.

Jak na gwiazdę przystało, musiała podtrzymać zainteresowanie swoją osobą – zwłaszcza poza ekranem. Działo się to poprzez promocję, sesje zdjęciowe, plakaty, obecność w gazetach i kolorowych magazynach, w życiu prywatnym poprzez głośne romanse, podróże, jej egzotykę, skandale towarzyskie czy drogie inwestycje jak zakupy: willi w Hollywood, białego rolls-royce’a z dodatkami z kości słoniowej, zamku we Francji, klejnotów Habsburgów. Nosiła perłowe broszki i naszyjniki, biżuterię z diamentami, futra z gronostajów etc. Aktorka lansowała też modę: nosiła turbany, wysokie buty „kozaczki”, malowała na ostry czerwony kolor usta a latem na taki sam kolor paznokcie u stóp.

Szokowały plotki o romansowaniu z Hitlerem, że była szpiegiem, tytuł księżnej, słynne awantury i gry (wg wielu sztuczne) prowadzone przez nią z młodszą gwiazdą Hollywood i jej rywalką Glorią Swanson, Amerykanką o szwedzko-włoskich korzeniach. Pracowały dla tej samej wytwórni filmowej, Swanson odeszła w proteście i atmosferze przegranej. Pola np. nie lubiła kotów i kiedyś nie wyszła na plan filmowy z garderoby, bo ktoś wypuścił pełno czarnych kotów – a była przesadna. Padło podejrzenie na Głorię Swanson, która uwielbiała koty. Kręcąc po wojnie film w Londynie, Pola postanowiła mieć przy sobie coś niecodziennego, rzadkiego – prowadziła na smyczy nie psa, a geparda. Gdy drapieżnik ryknął kiedyś w kierunku dziennikarzy podczas konferencji prasowej i pokazał kły, pogłaskała go i skarciła łagodnie:

– Przestań kochanie. Przestraszysz panów. (Jak wiemy, Helena Modrzejewska miała w Ameryce dwa krokodyle: Jasia i Kasię).

We francuskich posiadłościach Pola trzymała wyżły, w domu w San Antonio w Teksasie, gdzie spędziła ostatnie lata życia, miała ukochanego pudła Zizi.

*

Początek mniejszego zainteresowania Polą przez Hollywood zbiegł się z początkiem epoki kina dźwiękowego (koniec lat 20.) – choć weszła w to kino przebojowo i zaczęła śpiewać w filmach. Znamy X Muzy mieli obiekcje związane z jej chrypiącym niskim głosem, zbyt silnym obcym akcentem w jej angielskim – ale sto razy gorszy niemiecki twardy akcent miała Greta Garbo, a podbiła kino. Pola twierdziła, że problem leżał gdzie indziej: Amerykanki i inni fani kina nie wybaczili jej małżeństwa z księciem Mdivanim. Stało się to kilka miesięcy po śmierci Rudolfa Valentino, za którego miała wyjść za mąż, więc w oczach wielu nie dochowała żałoby i dożgonnej wierności bożyszczu Amerykanek...

Nastąpiło też zmęczenie u samej Poli, nowe propozycje coraz mniej ją interesowały, tujejsze życie coraz bardziej rozczarowywało. A może następowało zmęczenie jej gwiazdą, szukanie nowej, młodej. W Hollywood, o miejsce królowej kina rywalizowały w latach 30. i 40. po niej Marlena Dietrich (ur. 1901 r.), Greta Garbo (ur. 1905 r.) i inne. W kolejnym pokoleniu gwiazd, podobną jak Pola aurę i zainteresowanie wzbudzi Marilyn Monroe.

Nie otrzymując wielkich propozycji a odmawiając nieciekawym: „strząsnęłam z pantofelków pył Hollywood i jestem znów Europejką” – powiedziała w 1929 roku powróciwszy do Europy, gdzie wszędzie przyjmowana była jak gwiazda. Nakręciła filmy w Londynie, we Francji, po czym całą serię w wytwórniach niemieckich. Nie przyjęła zaproszenia do powrotu do Hollywood, miała też plany zostać producentką filmową. W filmie *Tango Notturmo* (1938 r.) zaśpiewała zjawiskowo tytułowe tango, które śpiewał później i grał cały świat – i gra do dziś. Doskonale śpiewała też w innych filmach np. *Na rozkaz kobiety*.

Musiała odpierać ataki związane z pracą w Niemczech, że otrzymywała wielkie profity od faszystowskiej władzy jako gwiazda wytwórni UFA. W 1935 roku film *Mazur* zrealizowała z Gregorem Rabinowiczem i Arnoldem Pressburgerem, filmowcami żydowskiego pochodzenia, którym naziści nakazali wyjechać z Niemiec. Z hitlerowcami nie kolaborowała, nie kręciła filmów propagandowych, poza tym Polska podpisała w 1935 roku układ pokojowy z Niemcami, Niemcy prowadzili ożywioną działalność i wymianę kulturalną z całym światem, także ze Stanami Zjednoczonymi i Polską. Broniła się przed oskarżeniami o granie w niemieckich filmach gdy Hitler był już u władzy także i tak, że Amerykanie byli bardzo zajęci sobą, rozwojem biznesu i wielkim kryzysem, nie poświęcali uwagi Europie i Hitlerowi, prasa niewiele pisała o tym. Wyjeżdżając z Ameryki do Niemiec, powracając tu by kręcić filmy, tak naprawdę nie wiedziała co się tam dzieje. Pisała, że nigdy w życiu nie spotkała się z Hitlerem, to że wzruszał się na jej filmach – nie tylko on! Widziała go z bliska raz, w kościele św. Jadwigi w Berlinie na mszy za duszę śp. marszałka Józefa Piłsudskiego w maju 1935 roku. Przygębila ją hipokryzja Hitlera, gdy długo klęczał i modlił się – a później dopuszczał do takich zbrodni. We Francji wygrała proces z tygodnikiem „Pour Vous”, który napisał o jej rzekomych związkach z nazistami, że przyjaźni się z Hitlerem itd. Przepraszono ją.

Uciekając od nazistowskich nalegań na współpracę propagandową wyjechała do

Francji. Tu mieszkała nadal po wybuchu II wojny światowej i stąd via Lizbona w 1941 roku udała się ponownie do Ameryki. Czekała na statek za ocean mieszkała w Estoril w hotelu „Atlantico”; zachowała się karta mel-dunkowa z 28 czerwca 1941 roku.

Jak na gwiazdę przystało była znakomita na ekranie, na deskach teatru, w tańcu, w śpiewie. Gdy zatem nie grała aktorsko, tak w Europie jak w Ameryce jeździła w tzw. trasy z występami estradowymi podczas których opowiadała, śpiewała pieśni, piosenki, romanse cygańskie, rosyjskie. Pierwszym jej szlageriem był *Paradis* z filmu *Na rozkaz kobiety* (1932).

Po wybuchu wojny zagrała jeszcze tylko w dwóch filmach: w 1943 roku w Stanach w komedii *Hi Diddle Diddle* i w 1963 roku w Londynie w produkcji Disneya *Księżycowe prządk*i. Gdy zjawiła się w Anglii by kręcić ten drugi film, miłośnicy kina i prasa angielska znów oszaleli na jej punkcie. Gazeta „Daily Mirror” napisała, że „do Londynu przyleciał najsłynniejszy wamp świata”. Inna gazeta pisała, że jest „królową wampów, pełną temperamentu, władczynią filmowych uczuć, kobietą huraganem lat

tor teatru Józef Świeściak – we wspomnieniach ukryła go pod nazwiskiem Podemski; zmarł w 1917 roku na gruźlicę. Następny był artysta malarz Stanisław Jerzy Kozłowski, zmarł także na gruźlicę i też w 1917 roku, w lipcu, Pola była w tym czasie już w Berlinie. W warszawskim okresie poznała w teatrze dożgonnego przyjaciela a później jej sekretarza i zarządcę jej nieruchomości (także we Francji) Lopka, zauroczonego nią. We wspomnieniach też nie odkrywa nazwiska, ale można domniemywać, że to Leopold Trzebuchowski (ur. 1894 r.) vel Leopold Brodziński, vel Lech Orwicz, vel Józef Wolski, zamordowany przez Niemców w Auschwitz w 1942 roku.

Pierwsze małżeństwo zawarła w Polsce – wyszła za oficera kawalerii, porucznika Eugeniusza hr. Dąbskiego herbu Godziemba, urodzonego w Rawie Mazowieckiej. Ślub Poli i Eugeniusza miał miejsce 5 listopada 1919 roku w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Sosnowcu, akt ślubu panna młoda podpisała: Apolonia hr. Dąbska-Chałupiec; tytuł hrabiowski bardzo ją nobilitował. Dąbscy byli mazowiecką arystokracją



Pola Negri, lata 30. XX wieku, arch. Mariusza Kotowskiego

dwudziestych, której *sex-appeal* sprawiał, że mężczyźni omdlewali na widowni”. Można domniemywać, że liczyła po tym filmie na Oscara... Ale nie otrzymała go; był to ostatni jej film.

Od chwili powrotu do Stanów Zjednoczonych w 1941 roku, okres do końca życia Pola Negri spędziła godnie i dostatnio w dużej mierze dzięki bogatej przyjaciółce Margaret West. Spotkała ją po przybyciu do Nowego Jorku na 5. Alei, zaprzyjaźniły się, zamieszkały razem. Posądzano Polę o bliższe intymne relacje z Margaret, ale są to informacje nieprawdziwe. Mieszkały w Nowym Jorku, w Santa Monica, w Beverly Hills, w latach 1959-1962 w słynnym hotelu „Menger” w San Antonio. Po przeprowadzeniu się do willi pani West w tym mieście, Pola mieszkała tu do chwili śmierci przyjaciółki, następnie zamieszkała w mniejszym mieszkaniu do końca życia, gdyż zmarła o wiele lat wcześniej od niej bogata M. West w zapisie testamentowym zagwarantowała Poli utrzymanie i opiekę.

Nieudane małżeństwa i związki

Aktorka była zamężna dwa razy, małżeństwa jej – podobnie jak inne związki z mężczyznami – nie okazały się trwałe.

Jej pierwszą poważną miłością był kolega z branży w Warszawie, aktor, reżyser i dyrek-

spotkanie bardzo dobrze do końca życia. Wtedy, po kolacji, na którą zaprosił ją hrabia, pojechała dalej do Berlina kręcić nowy film, ale zaczęli wymianę namiętnej korespondencji, spotykali się, wreszcie pobrali.

Panna młoda pomieszkiwała przy mężu w Sosnowcu w sumie przez kilka miesięcy, później większość czasu spędzała w Berlinie na planie filmowym. A on – jak to zawodowy żołnierz – na wojnach i manewrach; był uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej, od początku 1920 roku służył w 1. Pułku Szwoleżerów. Hrabia miał bardzo dobre stosunki z matką Poli, która mieszkała wtedy jeszcze w Warszawie. Związek był bezdzietny, oficjalnie trwał trzy lata, rozwód otrzymała w 1922 roku.

Kolejnym mężczyzną w jej życiu był bogaty Niemiec Wolfgang Georg Schleber. Nazywała go Petroniuszem; nie zachował się elegancko bo rzucił ją bez słowa... Romans zbiegł się z jej wyjazdem do Ameryki. Pisano jeszcze o głośnych dosłownie i w przenośni zalotach (strzelał, chciał ich zabić w rozpacz) w Niemczech i staraniach o jej rękę fabrykanta Willy Seiferta.

Tuż po jej przybyciu do Stanów w połowie 1922 r. o jej względy i rękę starał się Charlie Chaplin. Oświadczył się w Nowy Rok 1923, a ona się zgodziła. Jest mnóstwo ich wspólnych zdjęć, spędzali ze sobą dużo czasu, wyglądali na zakochanych. Jednak aktorka stwierdziła, że Charlie jest zbyt zaborczy, despotyczny, wybuchowy, chorobliwie i bez powodów zazdrosny, zawsze ciągnął za sobą pełno dziennikarzy, za często się kłócili. Ograniczałby jej życie, więc nie zdecydowała się na małżeństwo. Gazety pisały, że 3 marca 1923 roku dała Chaplinowi kosza. Po latach opisała ich związek, prostując to, co nieprawdziwego według niej napisał Chaplin. Określiła jego zachowanie i pisanie o ich sprawach jako niegodne dżentelmena i spuentowała, że „wszyscy kłowni żyją w świecie iluzji”.

Zdecydowała się jednak wyjść za mąż za czołowego amanta filmowego Ameryki, Włocha, aktora Rudolfa Valentino. Para była zakochana w sobie do szaleństwa: on usypywał płaki róż na łóżku, zwracał się do niej per „piękna Politka”, gotował dla niej. Mówiła, że przyjęła jego oświadczyzny. Niestety aktor zmarł nagle w szpitalu w Nowym Jorku w 1926 roku. Poli zarzucano nadmierne lansowanie się przy osobie i tragicznej śmierci Valentino.

Drugim mężem Poli Negri był książę gruziński Sergiusz Mdivani (1903-1936), elegancki i przystojny (jak Rudolf) mężczyzna. Był jednym z pięciorga dzieci byłego carskiego generała, po agresji Rosji na Gruzję w 1921 roku wyemigrowali do Paryża. Ślub wzięli we Francji w 1927 roku, po hrabnie stała się księżną, choć książę (– według wielu złośliwych opinii tytuł był fałszywy) był zbiedniałym gruzińskim arystokratą na emigracji. Mdivani o dziwo łatwo wchodzili w związki małżeńskie z bardzo bogatymi osobami. Niektórzy doszukiwali się w tym ruchu Poli kolejnego kroku w grze z hollywoodzką rywalką Głorią Swanson, która wyszła za mąż za... markiza. Analizując wspomnienia Poli, bardziej jednak można doszukiwać się tu kompleksów związanych z pochodzeniem, przełamывania ich, słabości bycia łasym na tytuły. Jednak i to małżeństwo nie trwało długo, m.in. z uwagi na rozrywkowy charakter księcia i jego rozrzutność – a był bez pieniędzy. Pisano też, że odszedł od niej po tym, jak straciła fortunę po krachu na giełdzie w Nowym Jorku w 1929 roku; mówiono, że zarobiła w Paramount sześć milionów a mogła stracić nawet pięć milionów dolarów. Rozwiedli się w 1931 roku a wcześniej byli w separacji; na szczęście przyjaciel Hulewicz nakłonił Polę do spisania interczy. Pisała, że zaszła z Serżem w ciążę ale poroniła.

Kochała trzech mężczyzn, za których nie dane jej było wyjść za mąż: ww. Petroniusza, Rudiego i Glena Kidstona. Ten ostatni to angielski komandor, pilot, romansowała z nim w 1929 roku w Anglii podczas kręcenia tu filmu. Zginął w katastrofie lotniczej. O jej rękę zabiegał później także jeden z najbogatszych ludzi świata, Amerykanin Harold McCormick (1872-1941): elegancki, szarmancki, rycerski. Odmówiła m.in. z powodu zbyt dużej różnicy wieku, poza tym miał nierówne usposobienie, bała się też, że ceną dostatniego życia będzie rezygnacja z aktorstwa. A potem miała wątpliwości, czy dobrze zrobiła nie wychodząc za niego...

Na koniec życia stwierdziła, że jednak ani Eugeniusza hr. Dąbskiego ani Serża księcia Mdivaniego nie kochała prawdziwie... Gdy w jednym z filmów wygłaszała sekwencję:

– „Przeżyłam dwie wojny, cztery rewolucje, i pięciu mężów”, wypowiadała ją z takim przekonaniem i autentycznością, że bawiło to każdą widownię, bo jak twierdziła, zgadzało się to z jej życiorysem – oprócz może trochę przesadzonej liczby mężów.

Wspieranie polskości

Aktorka była niewątpliwie polską patriotką. Gdy przybyła do Ameryki w 1922 roku – już jako znana aktorka powiedziała do Polonii:

– „Nie przybyłam tu dla majątku. Nie szukam chwały. Pragnę choćby skromną cegiełką przyłożyć się do sławy naszej odrodzonej, ukochanej Ojczyzny”.

Mówiła: „Zawsze byłam i będę Polką”. Jak wspominała Loda Halama (*Moje nogi*) po spotkaniu z Polą po wojnie w Kalifornii, miała wielki sentyment do Ojczyzny, dużo opowiadała o Polsce a w jej domu była polska atmosfera; przyjmowała Polaków z kraju i często gościła Polonię, częstowała szampanem, niektórzy według Halamy przychodzili, żeby się dobrze najeść. Na początku pobytu w Stanach odwiedziła Polonię w Chicago, złożyła uroczyste wieniec pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki (odsłonięty w 1904), urządzono spotkanie z nią w Domu Polskim, po wojnie przekazała tu do Muzeum Polskiego w Ameryce jeden z obrazów przywiezionych z Polski.

Gdy na początku 1919 roku występowała gościnnie przez kilka dni w teatrze w Krakowie, sprzedawała – jako bardzo popularna aktorka – z dużym powodzeniem drukowane karty ze swoim zdjęciem, a dochód z tej sprzedaży oraz część gaży przeznaczyła na fundusz odsieczy Lwowa. Wspierała też finansowo powstańców śląskich. Wcześniej w Warszawie brała udział w koncertach i wydarzeniach charytatywnych na rzecz ofiar wojny. Nagłaśniała proces sądowy jaki jej wytoczono za rzekomą obrazę pewnego aktora Niemca, który w czasie plebiscytu na Śląsku (marzec 1921 r.) powiedział w jej obecności w dużym gronie, że „Nie dostanę Śląska te polskie świnię!”. Oburzona zareagowała wtedy:

– „Sam jesteś świnią, łotr i łajdak”.

Z procesu wyszła obronną ręką, dowodziła, że jest Polką i polską patriotką, sprawę umorzono. W końcu lat 30. gdy realizowała filmy w Berlinie, miała stały kontakt i bywała w polskiej ambasadzie, występowała w Instytucie Polsko-Niemieckim sama i z innymi Polakami – kiedyś nie wystąpiła po kłótni z Kiepurą, który uparł się by to jego nazwisko było pierwsze na afiszu.

Zapewne wybierała instytucje i sytuacje (osoby, dziedziny), które wspierała, nie można jej zarzucić, że zapomniała o kraju. Udzielała się charytatywnie, wspomagała na ile mogła rodaków. Spotykała się jednak z zarzutami o brak wsparcia, np. przed II wojną światową, że nie spełniła obietnicy wybudowania sierocińca pod Bydgoszczą czy braku donacji na budowę szkoły w rodzinnym Lipnie – tu po prostu odmówiła prośbie; wspominała to córka naczelnika straży ogniowej, będącego w komitecie budowy szkoły, zarazem brata burmistrza.

Była katoliczką, jako dziecko i nastolatka modliła się w kościele Św. Krzyża w Warszawie, w ostatnich latach życia (gdy mieszkała w San Antonio) nie opuszczała niedzielnych mszy świętych, przyjmowała komunie świętą, przy łóżku miała obrazek z Matką Boską Częstochowską, zgodnie z jej wolą do trumny włożono jej różaniec w dłoń. Pogrzb matki urządziła w Hollywood z kościoła pw. Dobrego Pasterza w Beverly Hills (modlą się tu ludzie kina), pochowała ją na cmentarzu Calvary i wykupiła dla siebie miejsce obok matki, tam właśnie spoczęła po śmierci.

Pola Negri kupiła w 1926 i 1944 roku place i dotowała budowę kościołów polskich w Los Angeles – najpierw kaplicy a później dużego obecnego kościoła pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej przy West Adams Boulevard. W latach 20. XX w. organizowała koncerty, zbiórki, loterie na cele parafii i budowy kościoła; po wojnie z przyjaciółką Margaret West zamówiły we Włoszech do tego kościoła stacje Drogi Krzyżowej.

W swojej rezydencji na zamku pod Paryżem urządziła z matką kaplicę katolicką; organizowała tu polskie dożynki, na których zaproszone polskie zespoły prezentowały się w polskich strojach ludowych (wełniakach).

W rezydencji tej gościła Karola Szymanowskiego i jego przyjaciół, w wieży zamkowej kompletowała małe muzeum polskich militariów, zbierała polskie starodruki, malarstwo, grafikę.

W Kalifornii już jako wielka gwiazda witała w październiku 1923 roku wizytującego Stany Zjednoczone gen. Józefa Hallera. Powitała jego i jego gości wielkim bukietem kwiatów na dworcu kolejowym, a następnie gościła Generała w swojej rezydencji w Beverly Hills przez cały jego pobyt. Oprowadzała go po Hollywood (dzielnica Los Angeles), wydała duże przyjęcie na jego cześć. Aktorka wspierała polskich weteranów I wojny z Armii Polskiej tu w Ameryce a także w Bydgoszczy – którą wojska gen. Hallera przejęły z rąk Niemiec 20 stycznia 1920 roku. Pomagała ociemniałym żołnierzom weteranom. Pomagała i weteranom z II wojny, emigrantom powojennym w tym solidarnościowym po 1981 roku. Przygotowywała dla ww. paczki świąteczne żywnościowe, dawała też pracę Polakom. Po wybuchu II wojny światowej, we Francji działała charytatywnie w Czerwonym Krzyżu w Nicei zajmując się polskimi uchodźcami wojennymi. Po wojnie myślała o przyjeździe do kraju, ale podróż nie doszła do skutku, nie otrzymała też z Polski żadnej poważnej propozycji artystycznej.

Do domu w San Antonio zaprenumerowała polską prasę, spotykała się z Polonią i polskimi dziennikarzami, do końca życia mówiła chętnie i pięknie w języku ojczystym, po polsku.

W Bydgoszczy wspierała finansowo siostry klaryski (lata 20.); pomagała dzieciom z Kresów. W San Antonio pomagała Zgromadzeniu Sióstr Serafitek, przygotowywały wspólnie żywność, potrawy i prezenty świąteczne dla biedniejszej Polonii, Pola malowała pisanek wielkanocne; siostry odwiedzały i opiekowały się aktorką do końca jej życia. Nie doszło do skutku przygotowane już spotkanie gwiazdy (na jej prośbę) z papieżem Janem Pawłem II we wrześniu 1987 roku podczas pielgrzymki Ojca Świętego do Stanów Zjednoczonych, gdyż kilka tygodni wcześniej zmarła. W archiwum parafialnym w LA jest list aktorki wystosowany przez nią w grudniu 1978 roku do papieża Jana Pawła II (tuż po wyborze na Stolicę Piotrową) z pokorną prośbą do Jego Świątobliwości „o specjalne błogosławieństwo Apostolskie jako zadatek błogosławieństw niebieskich”.

Upamiętnianie legendy kina

Na portalu web.stanford.edu/polanegri.com napisano: Born in Poland, „made” in Germany, stolen by Hollywood. Aktorka otrzymała obywatelstwo Stanów Zjednoczonych w 1951 roku, natomiast Honorowe Obywatelstwo Los Angeles w 1973 roku. Nagrody za ogromny wkład do sztuki filmowej otrzymała na Festiwalu Filmowym w Berlinie w 1964 roku i na festiwalu jej filmów w San Antonio w 1968 roku.

W Polsce miejscami związanymi z nią są: Lipno – miejsce urodzenia i pierwszych lat dziecięcych; dziwne, że miasto nie nadało jeszcze swojej najsłynniejszej obywatelce tytułu honorowego, może teraz?; Warszawa – miejsce zamieszkania, dojrzewania, nauki, debiutów i pierwszych sukcesów; Bydgoszcz (kupiła tu dom-kamienicę, bywała w mieście); Brdów – rodowa miejscowość matki, przyjeżdżała tu na wakacje, na cmentarzu pochowani są jej dziadkowie i liczna rodzina matki; Łódź – w Muzeum Kinematografii przygotowano na 2007 rok dużą wystawę pt. „Pola Negri – legenda kina” (kuratorzy Krystyna Zamysłowska i Piotr Kulesza), wydano katalogi polsko-angielski i polsko-niemiecki. Wystawa objechała Polskę i Europę, zakupiono dla niej dużą liczbę eksponatów, które stanowią bodaj największy w Polsce zbiór pamiątek po aktorce. Są to: stroje (suknia i pantofle z filmu *Księżycowe prządk*), plakaty, afisze, fotosy, zdjęcia, dokumenty, książki aktorki i o aktorce, karty pocztowe, płyty gramofonowe, czasopisma i in. Zbiór daje możliwości urządzenia stałej wystawy lub poważnej galerii – a dokupiwszy kolekcję Mariusza Kotowskiego – można stworzyć muzeum Poli Negri w Łodzi, np. na wzór tego Marleny Dietrich w Berlinie. Łódź wszak jest miastem filmowym, jest tu Oscar przyznany łodzianinowi Arturowi Rubinsteinowi, na Piotrkowskiej jest gwiazda także Poli Negri, znajduje się tu słynna Szkoła Filmowa i wytwórnie filmowe, powstało Narodowe Centrum Kultury

Filmowej z ogromnym budżetem i w nowocześniejszych pomieszczeniach.

W Warszawie, w Muzeum Narodowym znajduje się jej portret olejny autorstwa Tadeusza Styki sprzed 1930 roku, 104 x 76 cm, подарowany muzeum przez gwiazdę, jej drugi inny portret Styki 138 x 108 cm jest w San Antonio; sportretował ją także Stefan Norblin (ok. 1920); Federico Beltrán Masses namalował w 1925 roku Polę z Rudolfem Valentino (ona ze słynnym tajemniczym pierścieniem); modernistyczny kolorowy rysunek Poli wykonała Milena Pavlović-Barili. Muzeum Teatralne przechowuje jej zdjęcia, plansze, plakaty; kilku poetów napisało wiersze dla niej i o niej, pojawiły się na rynku czekoladki i papierosy „Pola Negri” – przed wojną zapewne jako odpłatna reklama.

W Lipnie jej imię noszą bulwary nad rzeką Mień, umieszczono tu tablice informacyjne o aktorce i laureatach nagród uznania czyli statuetek „Politki”, przyznawanych przez Lipnowskie Towarzystwo Kulturalne im. Poli Negri; organizowany jest Przegląd Twórczości Filmowej „Pola i inni”, utworzono skromną Izbę Muzealną Poli Negri w dwóch salach przy kinie „Nawojka”, wmurowano tablicę dedykowaną aktorce. Działania te rozpoczęła w 2005 roku pani Dorota Łańcucka.

W Brdowie działa Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Brdowskiej organizujące „Spotkania z Polą Negri”, w 2008 r. odsłoniли tablicę na domu w którym zatrzymywała się jako nastolatka podczas wakacji a fotel i lustro z „pokoju Poli” z tego domu, eksponuje tu w karczmie miejscowy lekarz i pasjonat aktorki dr Piotr Królikowski. Organizuje się tu Biegi im. Poli Negri, Rajdy rowerowe „Od Chopina do Poli Negri”, wręczane są medale z jej wizerunkiem.

Wydane książki: autobiografia *Memoirs of a Star*, USA 1970, ukazała się także w Niemczech i we Francji, wydanie polskie nosi tytuł *Pamiętnik gwiazdy*, Warszawa 1976; *Pola Negri, La Vie et le Rêve au Cinéma*, Francja, 1928 (*Życie i marzenia w kinie*); Aleksander Stawski, *Pola Negri (księżna Mdivani), królowa ekranu*, Warszawa 1932; Wiesława Czapińska: *Polita*, Warszawa 1989 oraz wyd. II popr. *Pola Negri polska królowa Hollywood*, Warszawa 1996; Jeanine Basinger, *Silent Stars*, USA 1999; Mariusz Kotowski: *Pola Negri. Legenda Hollywood*, Warszawa 2011, *Pola Negri własnymi słowami* (oprac.), Warszawa 2014 oraz *Pola Negri: Hollywood's First Femme Fatale*, USA 2014; Daniela Dröscher, *Pola*, wyd. polskie Łódź 2014, tłum. z niem. Sława Lisiecka; Sergio Delgado, *Pola Negri: Temptress of Silent Hollywood*, USA 2016; Tony Villecco, *Pola Negri: The Hollywood Years*, USA 2017; Magdalena Lamparska, *Wszystko albo nic. #jak Pola Negri*, Warszawa 2017. Większe lub mniejsze biografie wydano o niej przed wojną w Holandii i Rosji.

Inne opracowania: rozdziały o Poli Negri w książce Zbigniewa Rogowskiego *Oni z Hollywood*, Warszawa 1982 i Marioli Szydlowskiej *Między Broadwayem a Hollywood. Szkice o artystach z Polski w Stanach Zjednoczonych*, Kraków 2009; Zbigniew Wyszyński, *Wielka Pola Negri*, „Filmowe Polonica”, Kraków 1985; Władysław Banaszkiewicz, *Pola Negri. Początki kariery i legendy* [w:] „Kwartalnik filmowy” 1960; Jan F. Lewandowski, *Pola Negri w Sosnowcu*, Sosnowiec 2002; Piotr Kulesza, *Pola Negri – droga do sławy*, Sosnowiec 2012; Dorota Łańcucka i Dorota Marcinkowska wydały folder *Być jak Pola Negri*, Lipno 2012; Dariusz Racinowski, *Brdowskie ślady Poli Negri*, Brdów 2008, *Pobyt w Brdowie okazał się dla mnie najlepszym lekarstwem. Brdowskie korzenie i ślady Poli Negri*, Brdów 2016 oraz rozprawa *Pola Negri i jej miłość do tego, co polskie* ogłoszona drukiem na KUL [w:] „Biografistyka Pedagogiczna” Tom IV nr 1 (2019); O aktorce pisali także: Leopold Brodziński, Ryszard Ordyński, Ludwik Sempoliński, Stefan Krzywoszewski, Maria Kornatowska, Jerzy Toeplitz, Bogusław Kaczyński, Leszek Armatys i Wiesław Stradomski, Jerzy Płaczekiewicz, Janina Pudelek, Joanna Szczutkowska, Noel Botham, Jim Tully, Hall Caine, Scot Eyman, Emily Leider, Allan Alfred Lewis, Alice-Leona Moats i inni. Dużo miejsca poświęcał jej „Iluzjon. Kwartalnik FilMOTEKI Polskiej”.

W FilMOTECE Narodowej znajduje się 19 kopii jej filmów, w tym *Bestia* z 1917 roku, jedyny jej ocalały polski film, ocalały dzięki amerykańskiej kopii pt. *The Polish Dancer*

z 1921 roku, w 2017 r. odrestaurowano go w rozdzielczości 4K; FilMOTEKA Narodowa zorganizowała w 2017 r. konferencję „Pola Negri – aktorka, ikona, legenda”. Mariusz Kotowski zrealizował film dok. *Life is a Dream in Cinema – Pola Negri*, USA 2005; Wiesława Czapińska i Barbara Wachowicz napisały dla TVP spektakl *Polita*, 1979; monodram pt. *His Polita napisała Bernadette Hamilton-Brady*, San Antonio 2003; w Warszawie od 2006 roku wystawiano sztukę muzyczną *Próba u Poli* w wykonaniu Barbary Rybałtowskiej zaś w Krakowie monodramy o Poli przedstawiała Nina Repetowska; Kazimierz Braun napisał sztukę *Opowieści Poli Negri*, 2008; M. Kotowski wydał na DVD jej cztery wcześniejsze filmy, USA, Austin 2011, napisał o Poli sztukę pt. *Złamane życie* oraz scenariusz 12-odcinkowego serialu telewizyjnego; Janusz Józefowicz zrealizował w oparciu o biografię aktorki musical pt. *Polita* w technologii 3D, w roli Poli wystąpiła Natasza Urbańska, 2011; Stanisław Janicki prezentował w telewizji polskiej zestaw jej filmów w cyklu „W starym kinie” (cykl od 1967 r.); Bogusław Kaczyński wydał na CD trzynastę pieśni, piosenek i romansów z filmów, w wykonaniu Poli Negri pt. *Polska bogini Hollywood*; spektakl *Tango Notturmo* wyreżyserowała Barbara Sass w Teatrze Kamienica w 2012 roku; Magdalena Gauer jest autorką sztuki teatralnej *Klatka*, 2016; na podstawie której Teatr Kamienica przygotował inscenizację *Noc gwiazdy*; rekonstrukcja filmu *Mania* i jego re-premiera w Filharmonii Narodowej z muzyką Jerzego Maksymiuka miała miejsce w 2011 r.; muzykę na żywo do niemych filmów Poli Negri wykonuje folkowy zespół Czerwie; w Stanach Zjednoczonych organizowane są festiwale filmowe dedykowane aktorce – także przez Polonię w Austin, Chicago czy Buffalo.

Popiersia Poli wyrzeźbili Jose Maria Sert (Paryż, 1928), Agnieszka Stopyra-Żugaj (2018), jej małą rzeźbę jako hiszpańską tancerkę wykonał w drewnie Zdzisław Ostrowski z Lipna (2007), na ścianie kościoła polskiego w Los Angeles wisi mosiężna tablica z jej płaskorzeźbą.

Duże archiwum i zbiory dotyczące Poli Negri zgromadził Mariusz Kotowski w Stanach Zjednoczonych, wiele wydawnictw i druków skompletował Alojzy Bukolt w Bydgoszczy; około 80 zdjęć aktorki znajduje się w Narodowym Archiwum Cyfrowym; dużo pamiątek posiadają niemieckie muzea i archiwa. Ze zbiorów rodzinnych Igor Chalupec przekazał do Lipna fotografię aktorki z jej własnoręczną dedykacją.

W Los Angeles, na Hollywood Boulevard w Alei Sław (Walk of Fame) umieszczono jej gwiazdę zaś przed słynnym Chińskim Kinem Graumana odcisnęła w chodniku: dłoń, stopy (buty), swój podpis z datą; gwiazda aktorki jest w łódzkiej Alei Sławy na ul. Piotrkowskiej.

Tablice pamiątkowe: Los Angeles – trzy w kościele polskim przy West Adams (jedna dedykowana matce), nagrobna na cmentarzu Calvary; w kościele pw. Św. Marii w San Antonio; w Lipnie na elewacji Miejskiego Centrum Kulturalnego przy ul. Piłsudskiego 22 (brak daty wykonania); Bydgoszcz – tablica z hartowanego szkła odsłonięta w 2012 roku na frontonie kamienicy przy ul. Zamoyskiego 8, należącej w latach 1920-1926 do aktorki, mieszkała tu jej matka i zarządca Łopek, miasto miało połączenie kolejowe z Berlinem i było blisko rodzinnych stron matki; Brdów (jw.); Sosnowiec – na domu, w którym pomieszkiwała z mężem w latach 1919-1920 (ul. Kołłątaja 6).

Aktorka zmarła 1 sierpnia 1987 roku w szpitalu w San Antonio w Teksasie. Egzekwie odprawiono zgodnie z jej ostatnią wolą w języku polskim, pogrzb odbywał się z kościoła polskiego w Los Angeles, prochy pochowano 5 sierpnia na cmentarzu Calvary w mauzoleum głównym, krypta E19, block 56. Większość przedmiotów z domu, zapiski, dokumenty, pamiątki filmowe przekazała Uniwersytetowi Świętej Marii w San Antonio, uczelnia utworzyła Kolekcję Poli Negri, przyznaje stypendia jej imienia.

Wojciech Stanisław Grochowalski

Artykuł sponsorowany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce; w podobnej wersji umieszczony został w dodatku „Marsz, marsz Polonia” do tygodnika „Kurier Plus”, Nowy Jork, 8 i 15 maja 2021.